

KAROL MAY

NA GRANICY TURECKIEJ



304



304

KAROL MAY.

NA GRANICY TURECKIEJ.

Historja persko-turecka

przerobiła

J. BOHUSZEWICZ.



WARSZAWA.

Nakładem „Księgarni Popularnej.”

1915.

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.



Wszystko to, co dziś z taką szczerością opowiadam czytelnikom moim, do niedawna jeszcze było starannie ukrywaną tajemnicą. Wprawdzie wróble o niej świergotały na dachach, wprawdzie półgłosem opowiadano sobie o niej najbardziej fantastyczne szczegóły, ale nikt nie mógł dociec prawdy, a kto ją chciał zbadać gruntownie, tracił po pewnym czasie wątek i stawał się bezwiednym i mimowolnym narzędziem w ręku szajki bandytów, którzy śmiałość swoją doprowadzili do bezkarności. A jednak szajka ta składała się tylko z pięciu ludzi, którzy w sumie nosili zaledwie trzy imiona: dwóch Achmetów agów, dwóch Selimów agów i jeden Abdahan effendi.

Czterej agowie byli oficerami; Abdahan effendi nie zmieściłby się w żaden mundur, był to bowiem najtłuściejszy człowiek, jakiego mi się w życiu widzieć zdarzyło, nosił więc strój cywilny; nie będąc jednak oficerem, był w literalnem znaczeniu tego słowa—wszystkiem. Piastował on jednocześnie urzędy szecha (nauczyciela), kadiego (sędziego) i imama (duchownego), czyli był najbardziej wpły-

wową osobistością w całym okręgu i pozatem zajmował się hodowlą bydła, rolnictwem, rybołówstwem i handlem; miał własny karawanseraj dla podróżnych z Persji i Turcji i własny obszerny dom dla siebie i żony. Nic więc dziwnego, że szanowny Abdahan czuł wielką wartość swoją i wymagał dla siebie tytułu effendiego, którego nie śmiano mu odmówić.

Okręg Dżau leży w południowej części płaskowzgórza kurdystańskiego. Wznoszą się tu dwa pasma gór Uluhm, które ciągną się prawie równolegle do siebie, tworząc pośrodku głęboką podłużną dolinę, ciągnącą się od północo-wschodu ku południo-zachodowi. Na samem dnie tej doliny wiją się w rozmaite strony rzeczki i strumienie górskie, pełne różnorodnych gatunków ryb, które effendi uważa za swoją wyłączną własność

Brzegi tych rzeczek i strumieni pokryte są zaroślami, zbocza zaś gór zarośnięte gęstym lasem, w którym łatwo można się spotkać nie tylko z lisem i wilkiem, ale nawet z brunatnym niedźwiedziem lub dzikim rysiem. Effendi utrzymuje, że i zwierzęta należy do niego i wymierza najsurowsze kary za złowienie choćby drobnej myszy leśnej.

Kto zna Persję i Turcję, ten wie, że na granicy tych państw kwitnie najbardziej ożywiona kontrabanda, której oba rządy ukrócić nie są w stanie. Okręg Dżau, leży w samym pasie granicznym, poprzęzynany wzgórzami, jarami, wąwozami i wązkami górskimi drożynami które prze-

mytnicy znają, jak własną kieszeń, nadaje się do tego procederu idealnie, o ile, naturalnie urząd celny nie stara się zbytnio przeszkadzać biedakom.

Abdahan effendi, jako wierny poddany jego sultańskiej mości, nie uważa za stosowne, aby przywoici ludzie drapali się po górach i karze więzieniem każdego, kto zbacza z głównego traktu, przecinającego granicę pod kątem prostym i prowadzącego środkiem doliny w głąb kraju.

Po obu stronach tego traktu, w miejscu, gdzie zaczyna spuszczać się w dolinę, stoją oba budynki celne, z jednej strony komora turecka, z drugiej—perska, górując w ten sposób nad okolicą.

O kilkaset kroków dalej zaczynają się posiadłości Abdahana, połączone mostem, który, jak wszystko, jest własnością effendiego i daje mu wcale ładne dochody z mostowego.

Poniżej komór również po obu stronach traktu znajdują się dwa karawanseraje obszerne lecz brudne, jak wogóle wszystkie tego rodzaju budynki w obu sąsiadujących państwach.

Oprócz tych dwóch przytułków dla podróżnych, Abdahan dla znakomitych gości przybudował na swoim domu rodzaj dwupiętrowej wieży, zawierającej po dwa pokoje na każdym piętrze. Pokoje drugiego piętra łączyły się zapomocą wewnętrznych schodów z głównym wejściem, do pokoi na pierwszym piętrze prowadziły boczne schody, idące zewnątrz domu na płaski dach,

z którego przez wązkie drzwi można się było dostać do wnętrza mieszkania.

Jadąc z Halifem Omarem z Bagdadu do Teheranu, musiałem z konieczności zawadzić o dolinę Dżau, a nawet postanowiłem zatrzymać się w niej na kilkodniowy wypoczynek, gdyż siły chłopca wyczerpały się podczas tej długiej i nużącej podróży. Sądząc widocznie po koniach, które rzeczywiście mieliśmy nadzwyczaj piękne, zaliczono nas odrazu do znakomitych gości i zaprowadzono wprost do domu effendiego.

W pokoju, do którego nas wprowadzono, zastaliśmy pięciu mężczyzn, którzy na nasz widok zamilkli nagle, przerywając tajemniczą jakąś rozmowę.

Pierwszy z nich odznaczał się tak niezwykłą tuszą, że Omar przez chwilę wpatrywał się w niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, aż wreszcie szepnął mi do ucha:

— Maszallah, a to grubas! Gdybym go chciał obejść dokoła, musiałbym ze trzy razy odpoczywać!

Rzeczywiście na sofie przed nami siedziało góra mięsa z ledwie odcinającą się od bezkształtnego tułowia wielką głową. Policzki jego wyglądały jak dwie półkule, maleńkie oczki zaledwie wyglądały z otaczających je fałd tłuszczu, gruby świecący nos zlewał się prawie z policzkami, a z pod niego zwieszały się aż na obwisły podbródek rzadkie kosmyki siwiejących już włosów.

Był to Abdahan effendi we własnej, olbrzymiej osobie. Pomimo jednak tej tuszy zwykły epitet „pocziwy tłusciuch“ nie pasował jakoś do postaci okręgowego potentata. Małe jego oczki patrzyły z istic lisią przebiegłością, a grube wargi znamionowały cheiwość i obżarstwo posunięte do najwyższego stopnia.

Z dwóch stron Abdachana siedziało dwóch starszych oficerów. Jeden z nich był chudy jak tyczka z długim wystającym niby dziób ptasi nosem, nadającym jego suchej twarzy jakiś krogulczy wyraz; Drugi—nizki, pękaty z twarzą buldoga, osadzoną na krótkiej i grubej szyi. Co do dwóch młodszych, ci byli również oficerami i odznaczali się giętkością i kocią zwinnością ruchów. Jeden z nich przypominał lisa, patrzącego na młodą gąskę, drugi miał minę łasicy zakradającej się do kurnika.

Dwaj starsi nazywali się Achmetami, dwaj młodszy—Selimami, a wszyscy tytułowali się „agami,“ t. j. panami, chociaż fizjonomje ich należały do tego rodzaju twarzy, przed którymi szczególnie w nocy ustępuje się z drogi jaknajdalej.

Wszyscy pięciu przyjęli nas bardzo uprzejmie i w dobranych wyrazach wypowiedzieli swoją wdzięczność losowi, który zesłał im do tej samotni człowieka tak wykształconego, jak ja, z którym rozmowa będzie dla nich prawdziwą ucztą duchową.

Rzecz prosta, że sami starali się temu wykształconemu człowiekowi przedstawić z jaknaj-

lepszej strony i niepytani opowiadali mi historję swego przybycia i osiedlenia się w Dżanie.

Ponieważ przemytnictwo rozwinęło się tutaj do tego stopnia, że komory nie wnosily do skarbu swoich państw literalnie ani grosza, przeto oba rządy postanowiły wzmocnić tutejszą straż pograniczną i przysłały każdy ze swego ramienia po jednym pułkowniku, jednym kapitanie i jednym poruczniku i po trzech żołnierzy do ich obsługi. Niestety jednak w krótkim czasie po ich zainstalowaniu się tutaj stało się nieszczęście, gdyż pułkownicy, obaj zapaleni palacze, zapruszyli ogień pomiędzy proch i naboje i razem z czterema żołnierzami wylecieli w powietrze. Niestety obaj kapitanowie nadużyli położonego w nich zaufania, zostali więc wtrąceni do więzienia, na ich zaś miejsce naznaczono poruczników, dwóch zaś pozostałych żołnierzy, awansowało do rangi poruczników.

Pomimo słodkich słówek i jeszcze słodszych uśmiechów było w tych ludziach coś takiego, co wzbudziło moją uwagę, postanowiłem więc przez czas mojego pobytu tutaj przyjrzeć się im zbliska i obserwować nieznacznie ich czynności.

Po posiłku, do którego nas natychmiast posadzono, poszedłem zajrzeć do koni, a właściwie zapoznać się nieco z miejscowością, gdyż w kraju nawpół dzikim i mającym takich naczelników, jak tych pięciu, o wypadek mogło

być nietrudno, a ja z zasady niespodzianek żadnych nie lubilem.

Po powrocie zastałem Omara otoczonego przez tych pięciu, którzy skorzystali widocznie z mojej nieobecności, aby wypytać chłopca o moje stosunki i wartość mojej kieszeni, która interesowała ich mocno. Omar, sprytny i obrotny, a przytem obdarzony prawdziwie wschodnią wyobraźnią, musiał mnie przedstawić jak jakiegoś półboga, bo przy wejściu powitał mnie okrzyk takiej radości, jakby mnie tych pięciu oddawna znało i kochało nad życie.

Abdahan effendi ofiarował mi gościnę u siebie bezpłatnie i, wiedząc już od Omara, że jestem zapalonym myśliwym, prosił mnie, abym zechciał zapolować w jego lasach na niedźwiedzie, które się tutaj niezbyt dawno pojawiły i wiele mu szkód wyrządzają.

Była to dla mnie tak silna pokusa, że, nie wahając się ani chwili, obiecałem effendiemu uwolnić go od tych niepożądanych gości.

Uradowany Abdahan podniósł się z trudem ze swego miejsca i poprowadził nas do przeznaczonych dla nas pokojów.

Były to owe dwa pokoje gościnne na pierwszym piętrze, do których wchodziło się przez zewnętrzne schody i płaski dach domu. Oba pokoje podobały mi się bardzo, gdyż dawały widok na wszystkie cztery strony świata, a przytem miały

komunikację zewnętrzną, co mi dawało pewną swobodę ruchów.

Nad nami mieszkali dwaj cudzoziemcy, — jeden turek z nad błotnistej Basry, — drugi Pers z wilgotnego Laristanu. Obaj byli cierpiący i przyjechali tutaj, aby wzmocnić płuca świeżym górskim powietrzem, cały więc prawie dzień spędzali w lesie.

Abdahan effendi tak często i z takim naciśkiem powtarzał, iż nie żąda odemnie zapłaty, że musiałem mu oświadczyć, iż zapłacę za mieszkanie i utrzymanie tyle, ile tylko sam zażąda. Na to zapewnienie tłusta twarz Abdahana rozjaśniła się najśladszym, jaki miał w zapasie, uśmiechem, a grube jego wargi wygłosiły następującą mądrą sentencję:

„Muszę się zgodzić, sisi, gdyż wiem, że szlachetni ludzie nie tylko nic od nikogo nie przyjmują, ale, owszem, płacą zwykle więcej, niż od nich żądają.

— Wstrętny człowiek! — zawołał Omar. kiedy bezinteresowny gospodarz zostawił nas wreszcie samych. — Jego chciwość jest jeszcze większa od jego tuszy! Ale my nie damy mu się obedrzyć, sisi? zapłacimy, co się będzie należało, ale ani grosza więcej!

Następnego dnia oznajmiłem Abdahanowi, że wybieram się na polowanie i że zapraszam wszystkich czterech oficerów do towarzystwa. Ale nie-

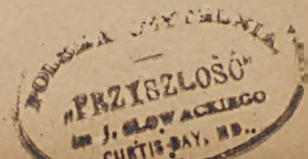
bezpieczna wyprawa nie bardzo się im, widać, uśmiechała, bo wszyscy czterej wymówili się od niej, tłumacząc się nawalem zajęć.

Przed wyjściem Abdahan effendi zatrzymał nas jeszcze chwilę i rzekł groźnie:

— Cały las, zarówno jak cała ta ziemia należy do mnie, możecie więc chodzić, gdzie wam się tylko podoba. Zabraniam wam tylko zbliżać się do tartaku Ben Adela. Ten łotr jest moim wrogiem, nie pozwalam wam zatem ani zbliżać się do jego posiadłości, ani tembardziej rozmawiać z nim lub z kimkolwiek z jego otoczenia!

— A gdzież leży ten tartak, którego unikać mamy? — zapytałem z niewinną miną.

— Jeżeli pójdziecie w górę rzeki, to napotkacie strumień z prawej strony, potem taki sam z lewej i znowu z prawej. Przy tym trzecim znajdują się posiadłości Ben Adela. Jego ojciec był kapitanem pogranicznej straży, a teraz siedzi w więzieniu za przemytnictwo. Jego syn, jakby na złość, ożenił się z córką drugiego również uwięzionego kapitana i osiadł tutaj na kawałku ziemi, który nabył od samego szacha i którego mu wobec tego odebrać niewolno. Niedawno założył u siebie tartak, drzewo kradnie, naturalnie, w moim lesie, deski wysyła aż do Teheranu i Ispahanu i zbiera za nie pieniądze, które mnie się za moje drzewo należą. Ale to sprytny łotr i na kradzieży złapać się nie da! Dlatego uważam



go za mojego wroga i każdemu, kto wchodzi z nim w konszachty grozę zemstą!

— I ja mścić się będę!—dodał Machmet aga z krogulczym nosem.

— I ja! — zawołał Machmet aga z twarzą buldoga.

— I my!—rzekli uniżono obaj Selimowie.

Skłoniliśmy się w milczeniu i wyszliśmy z Omarem, pozostawiając szanowną piątkę przekonaną, że wystraszyli nas dostatecznie, abyśmy zaniechali wszelkiej myśli poznania bliżej niegodnego Ben Adela i jego rodziny.

— Czy wiesz, sidi, o czem myślimy obaj? — rzekł Omar, kiedy znaleźliśmy się w przyzwoitej odległości od domu.

— O czemże?—uśmiechnąłem się mimowolnie.

— A o tem, aby przedewszystkiem odwiedzić tartak Ben Adela! — zawołał chłopiec z zapalem. — Jeżeli ten wstrętny Abdahan tak na niego, napada, to zgóry możemy przypuszczać, że jest to jakiś porządny i uczciwy człowiek.

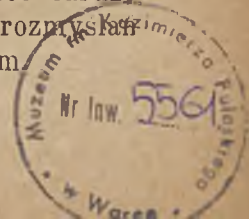
— I mnie się tak zdaje, — odparłem. — Abdahan effendi wygląda na skończonego łotra, a jego przyjaciele nie muszą być lepsi od niego. Miejmy się na baczności, Omarze!

— Nic nam nie robią! — zaśmiał się chłopiec niefrasobliwie. — Ale, sidi, chodźmy prędzej, — dodał przebiegając tak szybko swymi krótkimi nogami, że mimowoli musiałem przyspieszyć kroku.

Po półgodzinie dość uciążliwej drogi, gdyż las miał wysokie i gęste podszycie, napotkaliśmy, zgodnie z wskazówkami Abdahana pierwszy strumień, przeszliśmy go w bród i szliśmy w tym samym kierunku dalej aż do drugiego strumienia. Ten nam nie sprawił kłopotu, gdyż wpadał do rzeki z lewej strony, przy trzecim zaś skręciliśmy w bok i idąc jego brzegiem, doszliśmy do niewielkiego, starannie zbudowanego mostku, po którym dostaliśmy się na drugą stronę. Teraz znajdowaliśmy się już w posiadłościach Ben Adela.

Nie chciałem pokazywać się mieszkającym tutaj ludziom, zanim ich nie obejrzą choć zdaleka, gdyż, choć opinja Abdahana o nich wywołała tylko mimowolną dla nich sympatję, wolałem nie poddawać się temu wrażeniu, a być, jak zwykle, ostrożnym i przewidującym. Posuwaliśmy się więc ostrożnie naprzód, rozglądając się wkoło, gdy nagle oprócz szmeru wody usłyszeliśmy oderwane dźwięki rozmowy, prowadzonej kobiecymi, czy dziecinnymi głosami.

Posunęliśmy się pocichu w tę stronę i ujrzelśmy rodzaj altanki, utworzonej przez dwa buki, których splecione konary tworzyły rodzaj kopuły, wyrastające zaś wysoko od pnia korzenie — rodzaj ścian ażurowych, przez które z łatwością przenikał każdy wietrzyk, przynosząc z sobą wszelkie aromaty leśne. Było to miejsce bardzo mile i zaciszne, jakby stworzone do rozmysłów i cichych rozmów z Bogiem i sumieniem.



Rozsunawszy lekko gałęzie, zajrzeliśmy do tej improwizowanej altanki i spostrzegliśmy w niej siedzącą na ławeczce młodą i ładną kobietę o sympatycznym wyrazie twarzy, do której kolan tuliło się dwoje dzieci w wieku od lat dziesięciu do dwunastu.

Dzieci klęczały przed matką z pobożnie złożonymi rączkami i powtarzały za nią słowa pacierza. Była to modlitwa Pańska tłumaczona na język turecki.

Zdumieni i wzruszeni słuchaliśmy tych słów, wymawianych w języku obcym z gorącą wiarą i serdecznym uczuciem dla Tego, kogo Ojcem w niebiesiech mianowały.

.....I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Zbaw nas od prześladowań Abdahana effendiego i jego przyjaciół i uratuj ojca naszego tatusia i ojca naszej mamusi, którzy niewinnie w okowach jęczą. Ty jesteś dobrym Ojcem naszym, ulituj się więc nad nimi i powróć ich do nas, błagamy Cię o to z całego serca!“

Cofnęliśmy się cichutko i dopiero, kiedy głosy ich ucichły w oddaleniu, Omar zwrócił ku mnie błyszczące zachwytem oczy.

— Jaka to śliczna i dobra kobieta i jakie miłe dzieci! — rzekł.

— Kto to być może, Sidi?

— Prawdopodobnie żona i dzieci Ben Adela,— odrzekłem. — Nie przypuszczałem, że mogą być chrześcianami. Teraz tem lepiej rozumiem nienawiść tamtych ku nim.

— Chodźmy do nich, sidi!—wołał tymczasem Omar. — Ja wiem, że ty ich nie zostawisz bez pomocy, że postarasz się uwolnić z więzienia tamtych biedaków!

— Nie galopujno tak bardzo, mój chłopcze,— odrzekłem, mitygując jego gorączkę.— Jeszcze nie znamy tych ludzi, nic nie wiemy o nich, ani od nich, a ty już marzysz o jakichś bohaterskich czynach. Poczekaj przynajmniej, aż się poznamy z samym Ben Adelem.

— A więc chodźmy, sidi,—zawołał chłopiec niecierpliwie.— Chodźmy, ja wiem, że on ci się podoba!

Zrobiliśmy jeszcze kilkadziesiąt kroków i stanęliśmy na skraju lasu. Przed nami leżała obszerna polana, na której strumień rozlewał się szerzej, tworząc rodzaj niewielkiego stawu, zamkniętego z przeciwnej strony drewnianą szluzą.

Tuż obok stały zabudowania tartaku, dalej stajnie, wozownie i obory, a za nimi barwną mozaiką ciągnęła się przestrzeń starannie uprawionych pól i łąk kwiecistych. Z drugiej strony, na stoku góry, stał dom mieszkalny, otoczony ogrodem owocowym i warzywnym. Cały folwark świadczył o zamiłowaniu porządku, czystości i ład, ale i o pewnym poczuciu piękna właścicieli tego

zakątką o poczuciu wrodzonym, które wyrażało się w ładnych klombach i kwietnikach zdobiących wejście do domu.

Z mimowolną ciekawością przyglądaliśmy się temu wszystkiemu, gdy nagle na ścieżce od strony domu ukazało się trzech mężczyzn zajętych żywą rozmową.

Dwuch z nich starszych i poważniejszych zdradzało w ruchach i tonie głosu pewne nawyknie nie wojskowe; trzeci, znacznie młodszy, miał twarz sympatyczną, spojrzenie szczere i inteligentne.

— Zdaje mi się, że ten najmłodszy, to Ben Adel,—rzekł mój ciekawy Omar.

— Prawdopodobnie.

— A ci dwaj drudzy wyglądają na obcych,—ciągnął niepoprawny gaduła.—Wiesz, sidi, że to są ci sami, co to mieszkają nad nami i leczą się powietrzem.

— I mnie się tak zdaje,—odrzekłem.—Chociaż dziwi mnie to, że ich zastajemy tutaj, gdyż Abdahan dał im napewno taką samą instrukcję, jak i nam.

— A oni tak samo jego usłuchali, jak i my,—zaśmiał się Omar.

— Cicho! — szepnąłem, widząc, że rozmawiający skierowali się na ścieżkę, obok której staliśmy ukryci.

— A więc postanowione,—rzekł jeden z wojskowych wyraźnym perskim akcentem.—Nie mamy

innego środka i jeżeli ten nas zawiedzie, wracamy do garnizonów.

— I wtedy dla mnie zniknie wszelka nadzieja,—rzekł Ben Adel z wyrazem przygnębienia na swej sympatycznej twarzy.

— To trudno, dodał drugi wojskowy po turecku.—Sami widzimy, że są nadzwyczaj podejrzani, a jednak niemamy przeciwko nim żadnego dowodu.

— Żadnego, — pochwycił pers.—Jedno tylko wiemy, że dwaj starsi nazywają siebie kapitanami, dwaj zaś młodszy porucznikami, chociaż nikomu nie śniło się nawet awansować ich i dotychczas pozostają Achmetowie w randze poruczników, Selimowie zaś jako prości żołnierze. Jest to uzurpacja, ale to jeszcze nie dowodzi, że zajmują się przemytnictwem i okradają skarb państwa z należitych mu danin. Mam tylko nadzieję, że kiedy niespodzianie zjawią się kontrolerzy, stracą może głowę i w zbyt gorącej chęci ukrycia swoich przestępstw, zdradzą się z czem, co nas doprowadzi do wykrycia całej organizacji. Spodziewam się, że nasz kontroler zjedzie tutaj za jakieś cztery dni.

— I nasz będzie mniej więcej w tym samym czasie,—dodał turek.—Przytem musisz wiedzieć, że i twój ojciec i teść są również w drodze, gdyż liczymy, że przy konfrontacji z tymi łotrami, ci ostatni zdradzą się z czemś może.

— I obaj więźniowie zostaną nareszcie uwolnieni? — zawołał z rodzącą się napowrót nadzieją Ben Adel.

— Skądże,—odparł chłodno turek.—To, że ci łotrzy okażą się łotrami nie dowiedzie jeszcze, że twoi ojcowie mają ręce czyste. Tylko wyraźny dowód ich niewinności może otworzyć przed nimi drzwi więzienia.

— Błagamy Boga codziennie o ten dowód, — rzekł Ben Adel smutnie.

— Napróżno,—odparł pers z przekonaniem.

— Dlaczego?—podchwycił tracz.—Czy przypuszczasz, że jako chrześcijanin nie mogę się domagać sprawiedliwości?

— O, nie! zaśmiał się pers.—Twoja wiara nie mię nie obchodzi, tylko ponieważ ta sprawa jest tak zawikłana, iż tylko Allah może ci zesłać dowód niewinności twojego ojca, nie wierzę, aby zechciał to uczynić. Mój towarzysz jest czystej krwi sunitą, odrzuca więc zupełnie istnienie Allaha, gdyż do form religijnych wystarcza mu najzupełniej jego prorok. Ja jestem szytą, a więc nie całkowitym niedowiarkiem, lecz połowicznym i dlatego nie wierzę, aby Allah chciał się interesować sprawami ludzkimi, a temwięcej spełniać wszystkie zanoszone do niego prośby.

— A ja wierzę,—odparł z głębokim przekonaniem Ben Adel.

— To się mylisz.

— Nie, to wy się mylicie.

— W takim razie dowiedz nam, że się mylimy.

— Nie uniem tego dowieść. Bóg tylko mocen jest to uczynić.

— A więc niech dowiedzie, jeśli chce, abyśmy w niego uwierzyli. Wszak modlisz się codziennie, aby twój Bóg uwolnił cię od prześladowania Abdahana effendiego?

— Modlę się gorąco.

I żona twoja i dzieci modlą się również o to?

— Tak jest.

— I wierzycie, że was wysłucha?

— Wierzymy, jeśli taka będzie wola Jego. A więc słuchaj mnie uważnie Ben Adelu! Jeżeli twój Bóg ześle ci tutaj chrześcijanina, który dowiedzie winy tych zbrodniarzy i niewinności twego ojca i twego teścia, uwierzę w twego Boga i będę go czcił tak samo, jak i ty.

— A ja dodam, że jeżeli twój Bóg zmusi Abdahana effendiego, aby go błagał o uwolnienie go od niego samego, wierzę również. Czy rozumiałeś Ben Adelu?

— Zrozumiałem,—odrzekł tracz cicho,—i lękam się kary Bożej, za te bluźnierstwa, które tutaj wypowiadacie.

— Ale my się nie lękamy, — odrzekli obaj poganie dumnie.—Pod tymi tylko warunkami uwierzymy w Niego. A teraz żegnaj Ben Adelu. Czas na nas, jeżeli nie chcemy, aby przedłużona nieobecność nasza zwróciła uwagę Abdahana.

Z tymi słowami dumnym skinieniem pożegnali zgnębionego tracza i po chwili zniknęli w zaroślach.

Ben Adel stał jeszcze chwilę zamyślony, potem spojrział w niebo z jakąś dziwną otuchą i wrócił do domu.

— A co? — zawołał Omar, który widocznie pałał chęcią podzielenia się ze mną swymi wrażeniami.

— Nie, idziemy,—odrzekłem krótko.

— Idziemy, — powtórzył chłopiec zawiedzionym tonem.—Dlaczego?

— Odpowiem ci słowami tamtych: czy chcesz, aby nasza przedłużająca się nieobecność zwróciła uwagę Abdahana? Powinniśmy teraz pomyśleć o niedźwiedziu, musimy zatem iść do chaty leśnika, który musi nam pomóc w wyszukaniu tropu niedźwiedzia.

— Co nas tam niedźwiedź obchodzi, — mruknął Omar, ale poszedł posłusznie za mną.

Wydeptana ścieżka, którą znaleźliśmy łatwo zaprowadziła nas do samotnego domku leśnika. Stary kurd był na szczęście w domu i objaśnił nas chętnie, że sam już zaczął tropić niedźwiedzia i przekonał się, że jest dwoje starych i dwoje małych, legowiska ich jednak jeszcze nie odnalazł.

Umówiwszy się z kurdem, że w razie znalezienia go da mi znać natychmiast, zabraliśmy się do odwrotu, aby przed kolacją jeszcze stanąć w domu.

— Powiedz mi, sidi,—zaczął po chwili Omar, drepcząc przy mnie jak dzieciak, — czy wierzysz w Opatrzność?

— Dlaczego pytasz mnie o to?

— Bo ja wierzę, że to Opatrzność sprowadziła nas tutaj na pomoc tym dobrym ludziom. Pomyśl, sidi, że skoro Pers wypowiedział taki warunek, to znaczy, że ty masz wykryć sprawki tych łotrów i niewinność ojca i teścia Ben Adela. Z tej strony jestem zupełnie spokojny, — paplał chłopak.—Nie podoba mi się tylko życzenie turka, i nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłoby się spełnić.

— Nie łam sobie nad tem głowy, mój chłopcze, — odrzekłem. — My róbmy, co do nas należy, a resztę zostawmy losowi.

Kiedyśmy stanęli przed domem, ujrzeliśmy zbliżającego się od strony duany tureckiego Achmeta agę, który zdaleka już kiwał na nas uprzejmie.

— Już z powrotem? — zapytał, kiedy podszliśmy ku niemu kilka kroków.—Jakże stoi sprawa z niedźwiedziem?

— Jest kilku, ale jak ich tylko wytropimy nie będzie żadnego,—odrzekłem.

— To dobrze, to bardzo dobrze,—uśmiechnął się zadowolony.—Ale chodźmy na kolację. Wszak siadasz z nami do stołu?

— Tak jest.

— I Omar również?

— Naturalnie.

— Bardzo się z tego cieszę,—rzekł słodko.—
Chłopiec już przywiązał się do mnie, a i ty mię
niedługo pokochasz, bo należą do tych dusz, które
żyją tylko szczęściem innych.

Skłoniłem się w milczeniu i skierowałem ku
domowi, gdy nagle usłyszałem za sobą głośny
okrzyk,

Był to drugi Machmet aga, który zdaleka
kiwał na mnie ręką.

— Jakże się cieszę, że jesteście już z po-
wrotem,—rzekł, kiedyśmy podeszli ku niemu parę
kroków.—Wszak siadacie razem z nami do stołu?
To bardzo dobrze,—ciągnął dalej na moje potwier-
dzające skinienie głową.—Pozwolisz mi usiąść
między wami? Pokochałem was odrazu, gdyż na-
leżą do tych dusz, które żyją tylko szczęściem
innych. Ale chodźmy, gdyż musicie być bardzo
głodni.

Kiedyśmy weszli do jadalni, Abdahan sie-
dział już przy stole i zajadał jakąś potrawę z ry-
żem. Powitał nas uprzejmie, skinieniem ręki za-
prosił do zajęcia miejsc i zapytał przedewszyst-
kiem o to, co mu widocznie najbardziej na sercu
leżało, a mianowicie, czyśmy z Ben Adelem nie
rozmawiali.

— Nie, odrzekł Omar.

— A może z jego żoną lub kimkolwiek z jego
domowników?

— Z nikim, powtórzył chłopiec niecierpliwie.

— To dobrze, to bardzo dobrze,—rzekł za-
dowolony,—gdyż jeśli kto nie chce słuchać moich
rozkazów, to go zabijam lub wypędzam.

Kolacja przeszła w milczeniu, poczem Omar
poprosił o wodę.

— Czy wy tylko wodę pijacie? — zapytał
Abdahan zdziwiony.

— Nie,—zaśmiał się Omar,— pijamy wszystko,
prócz trucizn.

— I wino?

— A dlaczegożby nie?

— Koran zabrania.

— Nieprawda!—zawołał urwis.—Koran zabra-
nia się upijać. Jeżeli więc tylko potraficie się nie
upić, nie popełniacie grzechu, pijąc.

— Na Allacha, ma rację!—zawołał uradowany
effendi i natychmiast kazał przynieść dzban wina,
owego wschodniego wina, trzymanego po lat kilka
w zamkniętych naczyniach glinianych dla dodania
mu mocy.

Omar i ja zaledwie maczaliśmy usta w nie-
bezpiecznym płynie, pięciu jednak towarzyszków
nie odznaczało się wcale wstrzemięźliwością. To
też po niejakiem czasie języki im się rozwiązały
i jeden przez drugiego zaczęli nam opowiadać
jakieś niebywałe pijackie historie.

— Czy pamiętasz ten cudowny napój, który
w zeszłym roku przyrządzał kucharz owego po-
dróżującego anglika,—rzekł Abdahan effendi.—Nie
wiem, jak go robił, ale było to coś tak wybornego,

że dałbym dużo, aby choć raz jeszcze w życiu spróbować.

— A co to był za napój? — zapytał Omar. — Mój sisi umie wszystko i gdyby tylko wiedział, jak się ów napój nazywa, potrafiłby przygotować wam jeszcze lepszy.

— Czy naprawdę? — zawołał pożądliwie grubas.

— Czy naprawdę? — powtórzyli, oblizując się, Achmetowie.

— Z wszelką pewnością, — potwierdził Omar poważnie.

— A więc powiem ci, że ów napój nazywał się „plencz,“ — rzekł Abdahan, patrząc nam wyczekująco w oczy.

— Plencz! — zawołał zdziwiony Omar. — Nie znam takiego napoju i nie piłem go nigdy. A ty, sisi?

— Owszem, piłem i ty piłeś go również, tylko napój ten nazywa się nie plencz, lecz poncz, — rzekłem spokojnie.

— Tak, poncz, poncz! — zawołał Machmet z ptasim dziobem.

— Poncz, poncz! — potakiwał Machmet z twarzą buldoga.

— Poncz, poncz, poncz! — bełkotał Abdahan, mlaskając językiem.

— Tak, to był poncz! Czy potrafisz go przyrządzić sisi?

— Tak, o ile będę miał wszystko, co jest do niego potrzebne.

— A co mianowicie? — zapytał z widocznym zaniepokojeniem effendi.

— Czy masz koniak i arak?

— T... tak, — odrzekł wahająco Abdahan.

— Możesz mówić śmiało, — uśmiechnąłem się mimowolnie. — Nie jestem urzędnikiem komory celnej i nie pytam cię o te sprawy. Mnie chodzi tylko o to, czy masz arak, koniak, cytryny, cukier, cebule, czosnek i... ale tego pewnie nie posiadasz.

— Czego? — zapytał podniecony.

— Aloesu.

— Właśnie, że mam! — zawołał z tryumfem, zapominając o wszelkiej ostrożności.

— Ma! ma! — krzyczeli radośnie obaj Achmetowie.

— Widzisz, sisi, — prawil tymczasem Abdahan, — ja jestem dobry człowiek i mam zawsze wszystko, czego kto z przyjaciół moich potrzebować może. Jeżeli chcesz, możesz dostać cały koszyk aloesu.

— To zawiele, — uśmiechnąłem się z tej gorliwości. — Daj mi kawałek wielkości śliwki, do tego osiem cytryn, butelkę araku, butelkę koniaku, kilka cebul, kilka ząbków czosnku, odpowiednią ilość cukru i trochę gotującej się wody.

— Za chwilę będziesz miał wszystko! — zawołał rozpromieniony gospodarz i wybiegł o tyle szybko, o ile mu na to jego niezwykła tusza pozwalała. Widziałem, że Omar patrzy na mnie

przerażony i zagryzałem usta, aby się w głos nie roześmiać. Widocznie mieszanina cebul, czosnku i aloesu z cytrynami i arakiem wydawała mu się tak potworna, że, kto wie, czy na chwilę nie przypuścił nawet, że jego ukochany sidi chce wszystkich tutaj potruć. Ja jednak nie mrugnąłem nawet okiem i siedziałem obojętnie, dopóki Abdahan nie wtoczył się z powrotem.

— Już wszystko w kuchni gotowe, — rzekł zasapany. — Proszę, sidi, czy mogę zobaczyć, jak ty to będziesz robił? — dodał błagalnie.

— Pod żadnym pozorem, — odrzekłem poważnie. — Przygotowanie ponczu wymaga absolutnej ciszy i niezmiernego skupienia, gdyż przy tem należy wymawiać pewne zaklęcia, których siłę obecność osób nie wtajemniczonych niweczy zupełnie.

Wobec tego Abdahan musiał ustąpić. Zaprowadził mnie więc tylko do kuchni, gdzie rezydowała stale długa i chuda jak tyczka żona Abdahana, i wrócił do towarzyszków. Szanowna małżonka, wskazała mi rozłożone na stole przyprawy, podała odpowiednie naczynia i wraz ze służbą wyniosła się skwapliwie na dwór.

Zostawszy sam wrzuciłem przedewszystkiem na ogień cebule i czosnek i dopilnowałem, aby spaliły się na popiół, potem wrzuciłem aloes do przepływającego przez środek kuchni głębokiego rynsztoka i dopiero wtedy zabrałem się do zrobienia zwykłego ponczu.

Dla zwiększenia efektu zapaliłem go na końcu i taki płonący wniosłem do jadalni.

Trudno opisać, z jakim łakomstwem rzucili się wszyscy trzej na upragniony przysmak, powiem tylko, że dwie spore wazy zostały opróżnione w przeciągu pół godziny. Rzecz prosta, że wkrótce skutki tego nadużycia odczuć im się dały. Pierwszy Abdahan rozparł się szeroko na swoim siedzeniu, zamknął oczy i zaczął chrapać niemiłosiernie; za jego przykładem poszedł Machmet z twarzą buldoga, Machmet zaś z ptasim dziobem tak się poczuł bezwładnym, że musieliśmy go podtrzymywać, aby się nie zwałił na ziemię. Wreszcie zebrał resztki przytomności i zaczął się wybierać do domu. Odprowadziliśmy go kilka kroków, co zdawało się go niezmiernie rozczulać.

— Sidi, — belkotał, — jestem twoim przyjacielem, czy zrobisz mi jedną łaskę?

— O ile będę mógł, — odrzekłem ostrożnie.

— Czy wybierasz się jutro na polowanie?

— Tak, od rana.

— A więc wstąp do mnie przedtem. Nie pożałujesz tego i pamiętaj, że należę do tych dusz, które żyją dla szczęścia innych. Czy przyjdiesz?

— Dobrze, będę u ciebie rano.

Zaledwie zdążyłem pożegnać się z nim i wrócić na swoje miejsce, gdy Achmet z twarzą buldoga otworzył oczy, z trudnością podniósł się z miejsca i skierował ku drzwiom. Musiałem go

również przeprowadzić, gdyż z pewnością byłby o próg zawadził.

— Sidi,—rzekł, znalazłszy się przed domem,—jestem twoim przyjacielem, twoim najserdeczniejszym przyjacielem. Czy wątpisz o tem?

— A czy chciałbyś, abym wątpił,—odpowiedziałem pytaniem.

— O nie! W żadnym razie nie!—zawołał przerażony. — Kocham was obu, ciebie i twojego Omara i zapraszam was jutro do siebie na obiad. Czy przyjdiesz sidi?

— Z przyjemnością!

— O, jakiś ty dobry! Ale nie pożałujesz tego, bo należę do tych dusz, które żyją tylko szczęściem innych. Dobranoc!

Zaledwie postać jego zniknęła w cieniach nocy, Omar otworzył usta, aby mi zakomunikować jakąś uwagę. Na szczęście zatrzymałem go w porę.

— Cicho,—szepnąłem.—Tamci dwaj, nad nami podsluchują. Słyszałem skrzypnięcie otwieranej okiennicy.

— W takim razie ładne będą mieli o nas pojęcie, odszepnął chłopak.

— Co my z nimi zrobimy?

— Nic, pójdziemy spać,—odrzekłem.—Do Abdahana nie mamy już po co zaglądać, a ja jestem bardzo znużony.

Nie namyślając się długo, wdrapaliśmy się na nasz dach, weszliśmy bez światła do naszych

pokojów i rzuciliśmy się na łóżka zmęczeni i znużeni niewymownie. Zasnęliśmy też w jednej chwili. Niestety sen nasz trwał najwyżej kwadrans, gdyż obudziło nas nieznośne swędzenie i dziwny ból piekący. Zapaliliśmy światło i ujrzelśmy się otoczeni miliardami tych wstrętnych owadów, które nie tylko tutaj w Azji, ale i w Europie nieraz się dać we znaki potrafią.

Widząc, że walka z tą armią do niczego nie doprowadzi, uznaliśmy za stosowne ustąpić z placu boju i, pochwycawszy koce, wynieśliśmy się na dach. Tutaj postanowiliśmy spędzić noc i owinąwszy się szczelnie, ułożyliśmy się na deskach. Zaledwie jednak przytknęliśmy do nich głowy, porwaliśmy się zdziwieni. Pod nami toczyła się jakaś ożywiona rozmowa, której dźwięki aż tutaj do nas dochodziły.

— Sidi, ten dach leży nad pokojem Abdahana,—szepnął Omar.

— Tak jest,—odrzekłem.—Żałuję bardzo, że nie mogę rozróżnić wyrazów. Ciekaw jestem z kim i o czym Abdahan tak rozprawia.

Zamiast odpowiedzi Omar, zręczny i lekki jak wiewiórka, począł pelzać po dachu, szukając szpary lub choćby cieńszej deski, któraby pozwoliła mi posłuchać tej interesującej rozmowy.

Nagle Omar syknął cichutko i delikatnie. Przysunąłem się ostrożnie do niego i namacałem zwój gałganów, głęboko w dach wkręcony. Była to widocznie zatyczka, zasłaniająca otwór, przez

który w zimie przeciągano odpowiedniej grubości trzećną, imitującą komin, dla odprowadzania dymu z ogniska. Teraz w lecie komin taki był zupełnie niepotrzebny, wyrzucono go więc na śmiecie, a otwór zatkało gałganami. Ostrożnie, aby nic nadół nie upadło, wyjąłem gałgany co do jednego i pochyliłem się nad otworem. Na szczęście otwór był tak duży, że przyłożywszy oko do niego mogłem ogarnąć wzrokiem cały prawie pokój jadalny.

Ujrzałem też naszego grubasa siedzącego na zwykłym swoim miejscu; przed nim stał zupełnie nieznan mi człowiek i wyraźnie zdawał effendiemu jakąś relację.

— Więc mówisz,—rzekł ten ostatni,—że najprzód zmówili „Ojciec nasz,“ a potem kilka razy powtarzali tę obrzydliwą prośbę?

— Tak jest effendi.

— A może ci się tylko zdawało?

— Nie, effendi, Ci z pierwszego piętra musieli też słyszeć, bo stali bardzo blisko. Potem przyszedli ci z drugiego piętra i powiedzieli, że jeżeli Bóg chrześcijan jest taki mocny, to zmusi Abdahana effendiego, aby własnymi ustami prosił tego Boga, żeby uwolnił effendiego od niego samego.

— Kłamiesz! — krzyknął poruszony Abdahan.

— Prawdę mówię,—odrzekł szpieg.— Gdyby tamci zechcieli mówić, toby ci potwierdzili moje słowa. Potem ci tutaj poszli do chaty leśnika, ale nie mogłem słyszeć, o czym mówili, bo byłem za-

daleko, a zbliżyć się nie mogłem, gdyż malec oglądał się na wszystkie strony.

— To źle, to bardzo źle,—mruknął Abdahan.—O tamtych wiemy już, że są oficerami, i że mają przeprowadzić śledztwo i że teraz jest z nimi w zmowie. Obie „dusze“ odrazu to przewąchały. To też najlepiej będzie, jeżeli wsadzimy im po kawałku żelaza pod żebra, a potem spędzimy winę na tych z pierwszego piętra. Uśmiejemy się, jak jego i to arabskie półdjabłę w kajdany zakuwać będą.

— Nie, to niebezpieczna gra,—zaoponował nieznajomy. Zróbmy lepiej tak jak wtedy. Trochę prochu i odpowiedniej długości lont lepiej będzie imitować przypadek, niż wszelkie kawałki żelaza.

— Dobrze,—zgodził się Abdahan.—Tak będzie pewniej i krócej. Czy podejmiesz się tej sprawy tak, jak wtedy?

— Za tą samą cenę tysiąca franków, tak.

— Dam ci je, jeżeli ci się tak samo uda, jak wtedy. To było dobrze zrobione. Dwaj pułkownicy i czterej żołnierze furknęli w powietrze i rozlecieli się w drobne kawałeczki, a kapitanowie za to i za wszystko inne poszli do więzienia.

— Obaj porucznicy dali mi też wtedy po tysiącu franków i do obecnej chwili zawsze są gotowi do przysług. Ale oni to robią ze strachu, bo wiedzą, że mam w nodze dowody wszystkich ich win.

— W jakiej nodze?—zawołał gniewnie effendi.—Ciągle wspominasz o tej jakiejś nodze i straszysz, że masz w niej dowody, grożące naszym kapitanom. A przecież, gdybyś je miał, toby ci się lepiej opłacali.

— Już ja poczekam,—zaśmiał się chudy złośliwie. — Jak wybije godzina, to kapitanowie i niekapitanowie opłacać mi się będą. Ale to ciebie nic nie obchodzi. Czy jutro mam tych znowu szpiegować?—

— Koniecznie.

— W takim razie idę spać, bo muszę wstać rano.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Abdahan ścisnął pięści i szepnął z nienawiścią:

Idź, idź! przyjdzie niedługo twoja godzina, ale wtedy nie już nikomu nie pokażesz i nikt się tobie opłacać nie będzie. Jak tylko skończę z tymi, zaraz się do ciebie zabiorę. A teraz skorzystam, że mnie żadne ciekawe oko nie widzi i obliczę ostatnie obroty. — Z tymi słowami podszedł do komina. Tutaj ujął w rękę stojącą obok miotłę i starannie zmiótł w jeden kącik rozsypany na żelaznym blacie, stanowiącym podstawę ogniska wszystek popiół. Potem nacisnął w jednym rogu ów blat, który podniósł się nieco, ukazując ciemne wnętrze jakiegoś otworu. Abdahan pochwylił blat obiema rękami, odstawił go na bok i z otworu wydobyl okutą żelazem skrzynię, przypominającą nieco zwykle komody bez nóg.

Teraz z wiszącego mu u pasa pęka kluczków wybrał jeden z mniejszych, otworzył trzecią szufladę, wyjął z niej grubą księgę potężnych rozmiarów, rozłożył ją na sofie; usiadłszy przy niej począł coś długo i mozolnie liczyć. Po długiej chwili zamknął ją znowu, schował z powrotem do szuflady, skrzynię wsunął w otwór, założył blatem i dla lepszego ukrycia szpar po bokach posypał popiołem.

— Wszystkie moje tajemnice są tutaj schowane, — szepnął, — ale nikt ich nie znajdzie, nikt! Oni są za głupi na to!—

Zadowolony widocznie zgasił lampę i wyszedł z pokoju, gdyż sypialnię miał widocznie na drugiej stronie domu.

Teraz i ja podniosłem się od mojego obserwatorium, zasloniłem otwór galganami i opowiedziałem Omarowi wszystko, co widziałem i słyszałem.

Chłopak słuchał uważnie, nie przerywając mi ani słowem i dopiero, kiedy usłyszał nadany mu przez effendiego epitet, mruknął gniewnie:

— Poczekaj, pokażę ja ci takie półdjabłę, że ze strachu zapomnisz języka w gębie! sisi,—dodał po chwili spokojniej, — czy zauważyłeś, że Abdahan dowiedział się o modlitwie i o warunku perssa. Co myślisz o tem?—

— Że od tej chwili nasz ptaszek zacznie się buntować przeciwko tym wymaganiom, to jest będzie tak długo rozmyślać o tem, dopóki przedzej,

czy później nie ulegnie. Ale chodźmy spać, chłopcze, gdyż jutro wiele mamy do zrobienia, a ja nie chciałbym stracić ani jednego dnia na próżno.

Po raz drugi owinęliśmy się w koce i ułożyli na deskach i tym razem przespaliśmy spokojnie aż do świtu.

Pomimo zmęczenia obudziliśmy się dość wcześnie, kazaliśmy podać sobie śniadanie do pokojów, poczem wykapaliśmy się w strumieniu, opatrzyliśmy broń i ruszyliśmy w stronę lasu. Tutaj jednak skręciliśmy w bok i skierowaliśmy się wprost do tureckiej duany.

Po drodze oglądaliśmy się nieznacznie po za siebie i za każdym razem widzieliśmy skradającą się za nami sylwetkę wczorajszego szpiega.

— Bacznosc, Omarze, — szepnąłem. — Szpieg idzie za nami.—

— Czy nie wiesz, sidi, kto to taki?—

— Nie wiem, postaram jednak dowiedzieć się czegoś o nim od szlachetnego Achmeta. Musi go znać dobrze, boć to z jednego gniazda ptaki.—

Achmet czekał już widocznie, gdyż zaledwie stanęliśmy na ścieżce przed duaną, wybiegł naprzeciwko nas, witając taką masą komplementów, że formalnie nie wiedziałem, co mam z nimi robić.

Korzystając z tego, żeśmy się na chwilę zatrzymali przed duaną, rzuciłem okiem po za siebie i przekonałem się ze zdumieniem, że nasz

szpieg zbliżał się wprost ku nam z miną, jakby przypadkiem tylko znalazł się na drodze do duany.

— Kto to?—zapytałem Machmeta agę.

— Mój czausz (podoficer),—odrzekł. — Jeżeli chcesz, to ci go przedstawię, a jeśli pozwolisz, to go zatrzymam przy sobie.—

— Jesteś tutaj panem, rób więc, jak sam pragniesz. Co do mnie, to poznam go chętnie. Czy to wojskowy?—

— Nie. Ja moich ludzi rekrutuję wśród miejscowej ludności. Uważam, że tak jest sprawiedliwiej. Ale wejdźcie i uważajcie ten dom za własny, a mnie za pierwszego waszego niewolnika.—

Z tymi słowami Machmet wprowadził nas do swego prywatnego gabinetu, który był zarazem jego sypialnią i w którym unosiły się nieustannie kłęby tytoniowego dymu, wskazujące, że Machmet aga z ptasim dziobem był namiętym palaczem.

Czausz wszedł razem z nami, trzymał się jednak skromnie zdaleka i zdawał się być niezmiernie dumny z tego, iż należy do tak wykwintnego jak nasze towarzystwa.

Posadziwszy nas na honorowych miejscach, Machmet aga uczęstował nas najprzód hymnem pochwalnym na naszą cześć, w którym wychwalał wszystkie nasze cnoty, stawiając na pierwszym planie moją umiejętność robienia ponczu, tego najlepszego pod słońcem napoju. Tę wyszukaną mowę zakończył aga zgrabnym zwrotem retorycznym, wyrażającym prośbę, abym dziś zechciał uczynić

to, co wczoraj uczyniłem dla effendiego, czyli mówiąc poprostu, abym mu dziś zrobił odpowiednią ilość ponczu.

Znając moje szlachetne serce, wiedział zgóry, iż nie zasmucę go odmową i przygotował wszystko w pokoju czausza, w którym znajduje się jedyny komin do gotowania i gdzie mi nikt nie przeszkodzi w odmawianiu koniecznych przy robieniu ponczu zaklęć i formułek.

Zgodziłem się na tę jego prośbę tem chętniej, że dawało mi to możność przeszukania pokoju czausza, gdzie prawdopodobnie znajdowała się owa noga, o której wspominał effendiemu. Machmet uszczęśliwiony sam mnie zaprowadził na górę, pokazał przygotowane ingredjencja, sam rozpałił na kominie ogień i przyniósł wodę i zostawił mnie wreszcie samego, starannie zamykając drzwi za sobą.

Zaledwie kroki jego na schodach ucichły, zasunąłem dla wszelkiego bezpieczeństwa rygle i uważnie rozejrzałem się po pokoju.

Rozumiałem zgóry, że czausz, mówiąc o swej nodze, miał na myśli nogę jakiegoś mebla, zacząłem więc szukać wzrokiem jakichkolwiek mebli na nogach. Ponieważ jednak prócz niskiego wschodniego łóża nic tu podobnego nie było, przeto nie namyślając się długo przystąpiłem do oględzin tego ostatniego. Rzeczywiście jedna z krótkich nóg była od spodu wydrążona i zabita rodzajem szczelnie dopasowanego korka. Zapomocą

scyzoryka udało mi się wysunąć ten korek bez uszkodzenia i z otwartej w ten sposób rurki wyciągnąć starannie zwinięty papier, a raczej dwa oddzielne arkusze papieru. Były to, jak się przekonałem, dwa raporty, adresowane do dwóch rządów. W jednym z nich turecki Machmet donosił perskiemu rządowi o nadużyciach popełnianych przez perskiego Machmeta, o zbrodni popełnionej przez tegoż na osobie perskiego pułkownika i o fałszywym oskarżeniu o przemytnictwo perskiego kapitana, który właśnie zaczął śledzić uważniej czynności swego podwładnego, co się, rzecz prosta temu ostatniemu wcale nie podobało. Drugi raport był prawie identyczny, z tą tylko różnicą, że nosił adres rządu tureckiego i pisany był przez perskiego Achmeta tak samo szczegółowo jasno i wyraźnie. Oba dokumenty stwierdzone były własnoręcznymi podpisami obu Achmetów.

W jaki sposób te dwa wysoce kompromitujące dokumenty znalazły się w posiadaniu czausza, nie mam do obecnej chwili pojęcia, nie zastanawiałem się jednad nad tem, lecz umieściłem je do czasu z powrotem w otworze nogi, zabiłem korek i postawiłem mebel na swoje miejsce. Teraz wiedziałem już, gdzie szukać dowodów niewinności obu więzionych kapitanów i postanowiłem poszukać ich tam w swoim czasie.

Tymczasem zabrałem się szybko do zrobienia upragnionego ponczu i w parę chwil później

wnosiłem dwa dzbany do gabinetu stęsknionego za nimi gospodarza.

Wiedząc zgóry, że nie obejdzie się bez pijatyki, w jednym z dzbanów zrobiłem tylko trochę słabego ponczowego roztworu dla siebie i Omara, tem więcej, iż mogłem przypuszczać, że przed obiadem raz jeszcze taką porcję wypić będziemy musieli.

Pomijam tutaj wszystkie głupstwa, jakie sławetny aga razem ze swoim czauszem pod wpływem alkoholu prawili, zaznaczę tylko, że po godzinie wachmistrz był tak pijany, iż musieliśmy go literalnie zawlec na łóżko, gdzie natychmiast zasnął jak kamień.

Po jego odejściu Achmet stał się wiele więcej szczerym i naopowiadał mi wiele ciekawych rzeczy, których sam nigdybym się nie domyślił. Pomędzy innymi powiedział mi, że obie duany, perska i turecka, zbudowane są podług jednego planu i że żaden z Selimów nie jest na właściwym stanowisku, lecz perski jest w duanie tureckiej, a turecki — w duanie perskiej.

— Dlaczego? zapytałem zdumiony tą iście kontredansową zamianą miejsc.

Achmet plątał się dziwnie w odpowiedziach, aż wreszcie zniecierpliwiony, wybełkotał gniewnie:

— Maszallah! A któżby mi dostarczał znaczków perskich? — Nie zrozumiałem nic z tego, nie wypytywałem się jednak, a ośmielony tem i na-

wpół przytomny aga zaczął się rozwodzić nad swoim obecnym życiem.

— Wszystko byłoby dobrze, ze wszystkiego byłbym zadowolony, gdyby nie ten okropny zapach trupów, którego znosić nie mogę.—

— Zapach trupów?—powtórzyłem zdumiony.

— Tak jest w Turcji jest mnóstwo szyltów, którzy mają swój cmentarz w posiadłościach perskich i dokąd ich przewożą stale po śmierci. Otóż trupy te pachną tak niemożliwie, że delikatny węch agi znosić ich wprost nie może.

Jakby na potwierdzenie tego opowiadania drzwi gabinetu otworzyły się nagle i stanął w nich nawpół nagi człowiek z batem w rękę, prosząc o przepustkę na trzy muły i sześć trumien.

— Dobrze zaraz tam przyjdę, — rzekł Achmet.

Próżno jednak walczył z działaniem ponczu, w żaden sposób z miejsca podnieść się nie mógł i chwał się na wszystkie strony, jak trzcina pod podmuchami wiatru.

Widząc wreszcie, że nic nie poradzi, wyciągnął z kieszeni pugilares i podał mi go, bełkocząc nawpół zrozumiale:

— Weź trzy znaczki i nalep je na rzemieniach przechodzących przez czoła.

— Komu?—zapytałem, nie rozumiejąc.

— Mułom. Persowie zawsze tam nalepiają.—

Otworzyłem pugilares i znalazłem w nim kilkadziesiąt znaczków komory perskiej.

— Ależ to są znaczki perskie! — zawołałem mimowolnie, — a ty powinieneś naklejać tylko tureckie!—

— Co powinienem, to moja rzecz! — odrzekł Machmet. — A ty nie rezonuj, tylko rób, co ci poleciłem!—

Wzruszyłem ramionami i wyszedłem przed duanę. Trzech poganiaczy trzymało przy pyskach trzy muły, z których każdy dźwigał na grzbiecie po dwie podłużne skrzynie, przypominające kształtem trumny. Ze skrzyń tych rozchodziła się woń zgnilizny tak silna, iż rzeczywiście trzeba było posiadać brak węchu, aby bez wstępu zbliżyć się do tych cuchnących ciężarów.

Zasłoniwszy chustką nos i usta nakleilem szybko na wskazanych miejscach znaczki kontroli celnej perskiej i cofnąłem się do gabinetu, gdzie zastałem szanownego Machmeta agę rozciągniętego na sofie i chrapiącego w najlepsze. Nie budząc naszego zniechęconego tak nagle amfirjona, skinąłem na Omara i obaj wyszliśmy przed dom, aby skorzystać z chwili swobody i odwiedzić Ben Adela.

Chłopiec jednak wskazał mi ruchem głowy mnikące w oddali muły i szepnął prosząco:

— Sidi, chodźmy za nimi. Jestem pewien, że się jeszcze czegoś ciekawego dowiemy.—

Zgodziłem się chętnie, gdyż i dla mnie te brzydko pachnące skrzynie miały coś podejrzanego w sobie. Poszliśmy zatem w stronę lasu, w kie-

runku przeciwnym temu, w jakim zginęły nam z oczu muły, rozmawiając głośno o najobojętniejszych w świecie przedmiotach. Dopiero, kiedy krzaki zakryły nas zupełnie przed oczyma patrzących z duany, skręciliśmy w bok i szybko zaczęliśmy się przedzierać przez zarośla. Rzeczywiście po kwadransie może takiej drogi usłyszeliśmy tupot idących mułów i głosy rozmawiających poganiaczów.

Zatrzymaliśmy się bez ruchu, śledząc po przez liście ruch małej karawany, która dotychczas trzymała się utartej drogi.

Nagle poganiacze skręcili wszystkie trzy muły na małą ledwie widoczną ścieżynkę pomiędzy gęsto rosnącymi krzakami. Nie wiedząc, co to ma znaczyć, postanowiliśmy przeczekać w ukryciu chwil parę i potem dopiero puścić się tą samą drogą, aby w dalszym ciągu śledzić tajemnicze trumny, które mi się coraz bardziej podejrzanymi wydawały. Już miałem dać znak Omarowi puszczenia się w dalszą drogę, gdy bystre ucho chłopca pochwyciło odgłos kopyt powracających zwierząt.

Zdziwieni tą wycieczką, przytarliśmy się znowu i ujrzeliśmy wszystkich trzech poganiaczów z ich mułami, jak doszedłszy do drogi, skręcili w inną ścieżkę i szybciej popędzili zwierzęta.

— Zobaczmy, gdzie oni byli i co robili, — rzekłem do Omara, bo teraz, jestem pewien dążą już wprost do granicy.—



Omar pierwszy wbiegł na ścieżkę, przeciskając się zręcznie pomiędzy gęstymi krzakami, ja pospieszałem za nim, gdy nagle chłopiec przybiegł poblady z wyrazem niewypowiedzianego wstrętu na twarzy.

— Nie chodź tam, sidi, — zawołał. — Tam są takie straszne wyziewy, że doprawdy można przytomność stracić!—

— To nic, potrafię się uchronić od oddychania nimi, a muszę zobaczyć, jak te szyckie trupy wyglądają, — odrzekłem i uzbroiwszy się w chustkę do nosa posunąłem się odważnie naprzód. O kilkanaście kroków dalej znajdował się dość głęboki dół, zapelniony całym ciałami zabitych zwierząt, znajdującymi się w ostatnim stadjum rozkładu. Zapach panował tam tak silny, że pomimo zasłoniętych ust i nosa trudno było wytrzymać tam dłużej nad dwie minuty.

— Aha, więc to są owe trupy szytów,— rzekłem, kiedyśmy już wracali. — Dobrze o tem wiedzieć.—

— Mnie się zdaje, że my się jeszcze wielu rzeczy dowiemy, — rzekł Omar.

— I mnie się tak zdaje, — odrzekłem. — Ale to nic, w życiu należy dużo wiedzieć, a mało mówić. Pospieszmy się jednak, gdyż mamy jeszcze zamówioną wizytę w drugiej duanie.—

— Wiesz, sidi, — zaśmiał się Omar, — że będziesz jeszcze raz musiał gotować swój sławny poncz z czosnkiem i cebulą.—

— Chłopcze, nie przerażaj mnie! — zawołałem, udając przestach. — Trzeci raz od wczorajszego wieczora, to trochę zawiele.—

— A jeśli jeszcze szlachetny Abdahan zapragnie odświeżyć gardło tym boskim napojem? — dogadywał rozbawiony Omar.

— Nie obawiaj się tego, — odrzekłem. — Jestem pewien, że szlachetny Abdahan nie wytrzyma do wieczora i sam sobie ów boski napój przygotowuje.—

— Jakto, i z czosnkiem i cebulą?—

— To mniejsza! Gorzej będzie, jeśli doda aloezu?—

— Czy to trucizna?—

— Nie, ale dość silny środek przeczyszczający, z którym należy się obchodzić ostrożnie.

Południe minęło już dawno, przyspieszyliśmy więc kroku i w parę chwil stanęliśmy przed duaną perską.

I tutaj widocznie byliśmy oczekiwani, gdyż na spotkanie nasze z nieukrywana radością wybiegł perski Achmet aga, wołając zdala niecierpliwie:

— Jak to dobrze, że już jesteście! Wszystko oddawna czeka przygotowane!—

— Co takiego czeka?—zapytał Omar, udając nieświadomego.

— No, arak, koniak, cytryny, cebula, czosnek, cukier i nawet aloes!—

— O, nawet aloes! Skądziżeś go wziął?—

— Od Abdahana!—

Nasz gospodarz był tak niecierpliwy, że nie pozwolił nam odpocząć, lecz natychmiast zaciągnął mnie do pokoju, w którym na kominie palił się suty ogień i który przeznaczyl do robienia boskiego napoju. Rzecz prosta, że musiałem ulec jego żądaniu i zrobiłem mu odpowiednią ilość ponczu, która prawie wszystka spłynęła do jego żołądka. Zacny Machmet aga, tak samo jak jego towarzysz stał się po pewnym czasie bardzo rozmownym i opowiedział nam mnóstwo historii, z których wyprowadziłem ten pewnik, że obaj naczelnicy komor byli nietylko kreaturami Abdahana, którego w głębi duszy nienawidzili, lecz nadto sami na własną ręką prowadzili kontrabandę i oszukiwali się wzajemnie, jak się dało. Kiedy Achmet aga doszedł do takiego błogostanu, że musieliśmy go ułożyć na sofie, zabraliśmy się do odwrotu.

Była już druga po południu, postanowiliśmy więc, nie schodząc w dolinę, dojść lasem do samego tartaku, aby zobaczyć się z Ben Adelem i jego żoną.

Przedzierając się przez gąszcza zauważyliśmy stratowane krzaki i trawy i ślady kopyt mulów. Zboczyliśmy nieco za tymi śladami i o kilka kroków dalej ujrzelismy maleńką polankę, najzupełniej stratowaną i zdeptaną, na której poczułismy znowu ów okropny zapach zgniłego mięsa. Tutaj widocznie napełniono skrzynie owym won-

nym ciężarem, który miał naśladować zapach trupów, wieczornych na cmentarz. Oddaliliśmy się czempredzej z tego miejsca i odetchnęliśmy dopiero swobodniej przy furtce ogrodu Ben Adela.

Zacni ci ludzie przyjęli nas bardzo serdecznie, a kiedy jeszcze ofiarowałem im moją pomoc w odszukaniu dowodów niewinności ich ojców, byli wprost zachwyceni, i żona Ben Adela ofiarowała nam kilka najpiękniejszych róż w dowód wdzięczności i zaufania.

Wróciliśmy do domu o zmroku. W jadalni było ciemno, żona zaś Abdahana oznajmiła nam, że mąż jej jest bardzo chory, że przed obiadem sam ugotował sobie ponczu z cebulą, czosnkiem i aloesem i że po wypiciu tego nektaru zrobiło mu się niedobrze i że od tego czasu ma gorączkę, ciągle się zrywa, majaczy i klóci się nieustannie z kimś niewidzialnym, że nic nie powie, choć ów ktoś ciągle na to nastaje. Uspokoilem dobrą kobietę, że życiu jej męża nic nie grozi i że jutro będzie mu już lepiej i poszliśmy na swój dach, aby udać się na spoczynek.

Następnego dnia Abdahan effendi poczuł się fizycznie o wiele lepiej, chociaż widocznie coś mu jeszcze dolegało, gdyż zamyślał się często i bezwiednie poruszał ustami, jakby sam z sobą rozmawiał. O tem, że sam sobie poncz przyrządził nie wspominał ani słowa, a i dwaj porucznicy milczeli również. Kiedyśmy tego dnia przynieśli mu dwóch zabitych niedźwiedzi, fizjonomja

jego rozjaśniła się na chwilę i prosił nas, abyśmy po kolacji zostali jeszcze chwilę, gdyż ma z nami do pomówienia.

Poręcznicy pożegnali nas wcześniej i wtedy Abdahan ostrzegł nas, że jego lokatorowie uważają nas za najzwyczajniejszych koniokradów, gdyż takie marne osobistości jak my tylko złodziejstwem do takich, jak nasze, koni dojść mogli. Po za tem chciał się mnie zapytać, czy znam się choć trochę na cierpieniach umysłowych.

— Od wczoraj zdaje mi się nieustannie, że zwarzuję,—wówił.—Nie mam chwili spokoju, zdaje mi się, że ktoś we mnie siedzi, co mi każe koniecznie powiedzieć jedno głupstwo, którego powiedzieć nie chcę.—

— A co on ci każe powiedzieć? — zapytałem z najniewinniejszą miną.

— Właśnie, tego nie powiem. Chwilami zdaje mi się, że jestem nabity tym zdaniem, jak strzelba kulą, i że dość jednego nieostrożnego wyrazu aby to zdanie wyskoczyło ze mnie. Czy znasz takie stany, sidi?—

— Widziałem podobne objawy nieraz.—

— I jakież jest na to lekarstwo?—

— Powiedzieć to, co powiedzieć należy.—

— Nigdy! Ja tego nie chcę! Ja tego nie powiem nigdy! — wołał przerażony effendi.

— A jednak będziesz musiał, — odrzekłem twardo. — To co się pcha do wyrzeczenia tych

słów, jest tylko głosem sumienia, które każe ci wyrzec się dotychczasowego życia i rozpocząć inne lepsze i czystsze.—

Na te słowa Abdahan porwał się z miejsca.

— Zdaje mi się, że to nie mnie, a tobie grozi warjacja. Czy masz mnie za zbrodniarza, który ma się poprawić?—

— Za co cię mam, to moja rzecz,—odrzekłem ostro. — Pytałeś mi się, jaki środek jest najlepszy na twoją chorobę, odpowiedziałem ci, co o tem myślę. Ale jeżeli uważasz, że mój środek jest nie dobrym, lecz się sam, a mnie daj święty pokój!—

Z tymi słowami zostawiłem Abdahana samotnego i udałem się z Omarem do siebie. Tutaj, jak zwykle ułożyliśmy się na dachu, ja zaś otworzyłem nasz komin i zajrzałem do jadalni. Abdahan effendi siedział przez chwilę sam, poczem drzwi otworzyły się wolno i na progu stanął czausz. Szpieg przyszedł zdać raport, że wczoraj byliśmy na tartaku i rozmawialiśmy z Ben Adelem i jego żoną.

— Aha, to stąd mają owe prześliczne róże, które sobie w szklance na stoliku postawili. Znadto się coś kręca, — mruknął effendi. — Jeden z Selimów musi mi ich pilnować.

A może już byli w której z duan?—

— Owszem w obydwuch, — odparł czausz.

— Kiedy?

— Wczoraj właśnie.

— I ja się dopiero teraz o tem dowiaduję! — krzyknął rozwścieczony effendi. — Radzę im, pókim dobry, niech się strzegą deptać mi po piętach! Tegoby jeszcze brakowało, żeby się dowiedzieli o naszych piwnicach.

— Do których mamy wejście ze studni i które rząd jakby umyślnie dla naszej wygody pobudował, abyśmy mieli bezpieczne składy na nasze towary. Nie bój się, oni ich nigdy nie znajdą! —

— Tak, nie znajdą ich napewno, — zgodził się grubas. U mnie mogą szukać, ile im się podoba, nie znajdą nic, a gdyby nawet znaleźli piwnice, to i tak niema tam nic takiego, co by im powiedziało, że ty lub ja należymy do przemytników. My jesteśmy zupełnie zabezpieczeni, a że nasi czterej agowie mogliby mieć z tego tytułu trochę przykrości, to mnie znów tak dalece nie obchodzi. Niech każdy myśli o sobie. —

Dalszy ciąg rozmowy tyczył się przeważnie o drobiazgi codziennego życia, które nas nie interesowały, zatknąłem więc otwór gałganami i obaj z Omarem udaliśmy się na spoczynek. Następnego dnia, a był to już czwartek, turecki Selim aga znalazł się przy naszym boku i pod rozmaitymi pozorami ani na chwilę nie zostawiał nas samych. W piątek zajął jego miejsce perski Selim aga, który jednak był o wiele mniej od towarzysza przyjemnym. Tego samego dnia spadł piorun zapo-

wiedziany przez naszych sąsiadów z drugiego piętra.

Okolo południa do każdej z duan zajechał poseł, zapowiadając przybycie specjalnie wyznaczonego oficera, który ma przeprowadzić śledztwo.

Wywołało to pomiędzy pięcioma stowarzyszonymi prawdziwy popłoch. Najspokojniejszym z nich był Abdahan effendi, lecz dwaj Achmetowie poźótkli, pozielenieli i zupełnie stracili apetyt. Po obiedzie Achmet z ptasim dziobem zwrócił się do mnie i rzekł z przymusem.

— Tytułujesz mnie, sidi, kapitanem, ale to tylko grzeczność z twojej strony. Nazywaj mnie majorem, to wystarczy. —

— I mnie również, — dodał Achmet z twarzą buldoga.

Wieczorem powtórzyła się ta sama scena i obaj majorowie zdegradowali się na poruczników.

To samo uczynili i obaj Selimowie, którzy najprzód przyznali się do stopni wachmistrzów, aż wreszcie wykrztusili, że są tylko prostymi żołnierzami. Omar śmiał się im w twarz, ja jednak zachowywałem należyłą powagę.

Po kolacji wszyscy czterej zaczęli nam okazywać wyraźnie, że jesteśmy wśród nich zbyt czczeni, poszliśmy więc do siebie, a raczej do naszego otworu, który nam już tyle tajemnic zdradził.

Na dole wspólnicy klócili się tylko, nic jednak ważniejszego nie zdradzili.

W sobotę zjawił się przy nas znowu turecki Selim, pozbyliśmy go się jednak bardzo prędko. Po śniadaniu zaprosiliśmy go na przejażdżkę konną, a kiedy zakłopotany przyznał się że, nietylko nie ma konia, ale nigdy w życiu na siodle nie siedział, zostawiliśmy go na koszu, a sami pojechaliśmy do lasu. Była to niespodziewana chwila swobody, z której skorzystaliśmy, aby zobaczyć się z Ben Adelem.

Zdaleka już dojrzeliliśmy oboje rozmawiających z naszymi sąsiadami. Na nasz widok obaj oficerowie pożegnali się z gospodarzami i wolno posunęli się ku furtce, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Nie podobało się to Omarowi, który nagle zastąpił im drogę i rzekł energicznie:

— Jeżeli jesteście ślepi, to chyba nie jesteście głusi i dlatego powiem wam, że kto chce złapać Abdahana effendi, musi mieć więcej oleju w głowie, niż wy. Ten ptaszek wie od dwóch tygodni, kim jesteście i doskonale jest poinformowany o waszych spacerach i rozmowach tutaj.—

— Co to za smarkacz? — rzekł na to perstonem głębokiej pogardy.

— Towarzysz i przyjaciel Abdahana effendi,— odrzekł turek.—My nie wiemy o niczem, gdyż nie jesteśmy ani koniokradami, ani pijakami, urządzającymi co chwila siesty.—

Omar aż drgnął na tę obelgę, ale kazałem mu milczeć i z równą pogardą odwróciłem się od tych głupców.

Po ich odejściu wyjąłem z kieszeni nasze pasporty i zmusiłem Ben Adela, aby je przejrzał.

— To zupełnie niepotrzebne!—zawołał tracz.— My i bez tego wiemy, że jesteście dobrzy ludzie.—

Pomimo to zmusiłem go do przejrzenia naszych dokumentów szczegółowo, gdyż chodziło mi o to, aby treść ich powtórzył oficerom. Przesiedzieliśmy u tych dobrych ludzi kilka godzin, rozmawiając przedewszystkiem o możliwości uwolnienia obu starców. Ben Adel i jego żona tworzyli rozmaite plany, które rozpatrywaliśmy razem, ja jednak trzymałem się na wodzy. Zauważyła to żona Ben Adela i rzekła z westchnieniem:

— Zdaje mi się, że pan wie wiele rzeczy, których nam powiedzieć nie chce.

— Tak jest, — odrzekłem szczerze, — ale ja pamiętam o warunkach obu niewiernych i milczę, aby potem nie mogli nam zarzucić, że to wasze dzieło, a nie owego wymaganego przez nich chrześcianina.—

— Ufamy panu i robić będziemy to tylko, co nam pan rozkaże,—odrzekł mi na to Ben Adel.

Wróciliśmy do domu przed wieczorem. Zastaliśmy wszystkich współników w jadalni, ale miny ich nie były wesołe. Szczególniej Abdahan wydawał się niespokojny i roztargniony, chociaż silił się nie pokazać tego po sobie. Na miejscu usiedzieć nie mógł i często wychodził przed dom, gdzie krzyczał i gniewał się na służbę bez powodu. Wcześniej też rozeszliśmy się na spoczynek.

Następnego dnia, a była to niedziela, zostaliśmy całe przedpołudnie w domu, chociaż nasza obecność niezmiernie przeszkadzała naszym sąsiadom, którzy widocznie chcieli użyć naszego dachu jako doskonałego punktu obserwacyjnego.

Przed wieczorem dowiedzieliśmy się, że żona Abdahana zniknęła nagle i że pomimo najstaranniejszych poszukiwań znaleźć jej nie było można.

Kiedyśmy weszli do pokoju, stół był jeszcze nienakryty i Abdahan siedział przy nim z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Kolacja będzie spóźniona,—rzekł głucho.—
Moja żona odeszła odemnie.

Potem zerwał się nagle i, patrząc na nas osłupiałym wzrokiem, dodał głucho:

— Zdaje się jednak, że będę musiał powiedzieć! Ona mi też tak powiedziała. Oni wszyscy, chrześcianie, tak mówią, a przecież i ona była chrześcianką.—

W poniedziałek Abdahan uspokoił się nieco i jadł z jakąś zwierzęcą żarłocznością, zdawało się, że chce miotający nim niepokój zajeść.

W poniedziałek, około południa usłyszeliśmy nagle jakiś niezwykle hałas. Był to oddział wojska pod dowództwem oficera, który zaszedł wprost do karawanseraju tureckiego i tutaj się roztasował na wypoczynek. Przed wieczorem taki sam hałas oznajmił przybycie oddziału perskiego, który zajął miejsce w karawanseraju perskim.

Najbardziej charakterystyczną rzeczą było to, że oficerowie obu oddziałów pominęli zupełnie Abdahana effendiego i do żadnej z duan się nie zakwaterowali, lecz wybrali sobie grunt neutralny.

Po kolacji Abdahan effendi zwrócił się do mnie i rzekł, nie patrząc mi w oczy:

— Twoi sąsiedzi skarżą się, że nie mogą spać, tak im dokuczają owady. Obiecałem, że każę im oczyścić mieszkanie i wstawię inne meble. Pozwolisz, że i u ciebie zrobię to samo.

— Dobrze,—odrzekłem. Teraz pójdziemy do siebie, uprzątnąć niektóre drobiazgi, a za godzinę wyjdziemy na spacer i wrócimy, jak już mieszkanie będzie zupełnie gotowe.—

Poszliśmy na nasz dach, gdzie natychmiast podpełzłem do otworu.

Wszyscy pięciu, pochyleni ku sobie, rozmawiali z ożywieniem.

— Nareszcie się zaczęło,—mówił effendi.—
Lepsze to niż oczekiwanie i przyspieszy nasze zamiary. Ja mam, jak wicie, miękkie serce, ale jeśli mi kto staje na drodze tego usuwam. Ci czterej wylecą w powietrze, to już postanowione, a z żołnierzy część przeciągniemy na naszą stronę, a opornych zapakujemy do piwnic.—

Nie warto było słuchać dalej, wymknęliśmy się więc i ruszyliśmy na tartak.

Tutaj zastaliśmy nie tylko gospodarzy i naszych sąsiadów, ale i przybyłych oficerów, którzy przyprowadzili z sobą obu więźniów. Byli to sta-

ruszkowie o sympatycznych i uczeiwych twarzach, którym więzienie nadało wyraz cichego smutku. Zbliżyłem się do nich i w rozmowie zrobiłem im nadzieję, że te więzy już jutro z rąk ich spadną.

Wtedy obaj starsi oficerowie, którzy dowiedzieli się już o naszych pasportach, zwrócili się do mnie i z wyszukaną grzecznością prosili, abym zechciał nie mieszać się do spraw, które im wyłączenie są powierzone.

— Tak,—odrzekłem, — ale panowie będziecie czekać, dopóki nie wylecicie w powietrze!—

— Dopóki nie wylecimy w powietrze!—zawolali obaj

Tak jest, — potwierdziłem. — Gdzie panowie spicie dzisiaj?—

— Tam, gdzie zwykle. W naszych pokojach na drugim piętrze,

— Czy pamiętacie, że tam już raz był wybuch, który spowodował śmierć dwóch oficerów i kilku żołnierzy?—

— Wiemy,—odrzekli.— Ale to był wypadek, spowodowany własną ich nieostrożnością. Obaj byli namiętными palaczami i zapuścili ogień, pomiędzy proch, który trzymali w pokoju.—

— Ach, to tak było,—uśmiechnąłem się lekko,—ja wiem cokolwiek inaczej, ale to mniejsza. Czy wiecie, co dziś z naszymi mieszkaniami robią?—

— Czyszczą je i myją,—odrzekł pers.

— Broń Boże, nawet palcem nie ruszą. Wstawią nam tylko najgorsze z całego domu graty. Z dachu przez okno wpuszczą wam lont długi na kilka łokci, do którego pod samym waszym oknem przytwierdzą jakiś materiał wybuchowy, drugi zaś koniec, który na dany znak zapala, spuszcza z dachu na tę brzoskwinę, która na samym rogu domu stoi. A potem, jak z nas już tylko krwawe resztki zostaną, puszcza pogłoskę, że byliśmy nieostrożnymi palaczami, którzy ogień między proch zapuścili.

— Skąd pan to wiesz! — zawołał przerażony pers.

— Słyszałem, jak się o to umawiali.

— Co więc należy zrobić?—zapytał również wystraszony turek.

— Tymczasem nic, — odrzekłem spokojnie.— Do domu powrócimy tak, jak się tu przyszli, wy oddzielnie i my oddzielnie, aby nie zwrócić uwagi tych łotrów. Ben Adel ma prawdopodobnie rozmaitego gatunku lonty, użyć więc nam prawdopodobnie jednego.—

— Na co?—

— Aby czausza przyłapać na gorącym uczynku,—odrzekłem.—Musimy przygotować wszystko, jak należy, gdyż ci łotry są bardzo sprytni. Tymczasem pozwolimy sobie zostać jeszcze u was, aby wrócić do domu o zwykłej porze.—

Przedstawiłem im mój plan działania, który zaaprobowali z uniesieniem, o innych jednak spr-

wach milczałem, czekając odpowiedniejszych ku temu okoliczności.

Wróciliśmy do domu przed samym wieczorem, wśliznęliśmy się pocichu na dach i obcieliśmy lont, który piał się po ścianie aż do pokoju oficerów. Potem obcięty koniec namoczyłem w wodzie i przymocowałem cienkim gwoździem do deski, drugi koniec spadał jak poprzednio z brzoskwini. Przygotowawszy to wszystko, z minami obojętnymi, jakbyśmy dopiero co z dalekiej przechadzki wrócili, weszliśmy do jadalni, gdzie nie brakowało żadnego z łotrów, gdyż i czausz był dzisiaj obecnym.

Po skończonym posiłku podniosłem się z miejsca i pożegnałem ich życzeniem „spokojnej nocy“.

Nagle Abdahan effendi zerwał się z miejsca i patrząc mi wyzywająco w oczy, zawołał z gniewem:

— Czy jeszcze myślisz, że ja powiem?!—

-- Co?—

— No, to zdanie! To, co tutaj siedzi,—dodał, uderzając się pięścią w piersi.

— Tak, powiesz!—

— Nie, nigdy!—

— A jednak powiesz! I powiesz to dzisiaj, przed północą, i wszyscy obecni słyszeć to będą!—

Tyle było pewności w moim głosie, że zgnębiony effendi upadł na sofę i ukrywszy twarz w dłonie, zaczął jęczyć:

— Ach, ten człowiek! Ten straszny człowiek! Wypędźcie tego człowieka!—Wyszliśmy z Omarem i ostrożnie przysunęliśmy się do krzaków, rosnących tuż przy brzoskwini.

— Czy jesteście?—szepnąłem, nie widząc nic wśród ciemności.

— Jesteśmy, — odparł również cicho głos persy.—Nie obawiaj się, wszystko gotowe.

Dostaliśmy się z Omarem na dach. Chłopca położyłem przy otworze, każąc mu czuwać, kiedy czausz wyjdzie z pokoju, sam zaś stanąłem gotowy do pomocy dla tych, co tam na dole ukryci czekali.

Po chwili Omar zasłonił otwór i syknął w umówiony sposób; na sekundę rozległ się szmer, poczem wszystko ucichło jakby zamarło.

Nagle jakaś ciemna postać poczęła się skradać do drzewa; błysnęła zapalka i mały ogieniek począł się szybko wdzierać ku górze. W tej samej chwili dwaj oficerowie wpadli na niego z jednej strony, dwudziestu żołnierzy z drugiej i nim czausz miał czas zrozumieć, co się z nim stało, już leżał skrępowany na ziemi. Wnieśliśmy go do jadalni, którą naprędce zamieniono na salę badań.

Na widok skrępowanego czausza i kilkudziesięciu żołnierzy pozostali łotrzy zbledli, ale ani ruchem nie dali poznać po sobie, że ich to w czemkolwiek obeszło. Owszem zaciśnięte ich wargi świadczyły, że postanowili wypierać się do ostatka.

Oficerowie tymczasem siedli za stołem, ja zaś nakazałem ciszę i rozpoczęła się indagacja.

Czausz wypierał się wszystkiego, dowodził, że chciał zapalić cygaro, nie wiedząc nic o loncie i że tylko przypadek sprawił, iż ten ostatni tlił się począł.

Było to kłamstwo, któreśmy doskonale widzieli, nie można mu jednak było dowieść winy, gdyż nikt nie widział, żeby to on właśnie lont tam umocował.

Pozostali pięciu wypierali się również wszystkiego z minami tak niewinnymi, jakby trzech zliczyć nie umieli.

Wtedy oficerowie kazali wprowadzić więźniów, ale konfrontacja z nimi nie dała również najmniejszego rezultatu.

Wtedy obaj naczelnicy kazali przybyłym oficerom wziąć po kilku żołnierzy i przeszukać najstaranniej obie duany i dom effendiego, ale nigdzie nie znaleziono najmniejszego dowodu ich winy. Łotrzy tryumfowali, a Abdahan effendi zwrócił ku mnie swe złośliwe spojrzenie i rzekł ironicznie:

— A cóż, sidi, gdzie twoje słowo? Gdzie ta pewność, że ja to powiem. Wiem już, że nie jesteś oficerem, może więc jesteś koniokradaem?

Nie odpowiedziałwszy nic bezczelnemu łotrowi, podniosłem się z miejsca i zwróciwszy się do obu oficerów, rzekłem głośno:

— Poślijcie jeszcze raz do duan. Niech kilku żołnierzy spuści się do studni, a znajdą tam wej-

ścia do piwnic, gdzie łotrzy przechowują przemycane towary.

Okrzyk przerażenia obu Achmetów i obu Selimów poświadczył najlepiej, że słowa moje zawierały prawdę. Abdahan effendi wydał tylko pomruk ranionego niedźwiedzia.

— Dwuch żołnierzy, — ciągnąłem tymczasem dalej, — niech idzie do tureckiej duany; tam na piętrze w bocznym pokoiku z kominem, mieszka czausz; tam niech odwróci łóżko nogami do góry, wyjmą kołeczek z tylnej nogi i przyniosą tutaj papiery, jakie znajdują w okrągłym otworze nogi. Są to dowody winy tych tutaj i niewinności tamtych złamanych wiekiem i cierpieniami starców!

Jeszcze przeraźliwszy okrzyk wściekłości i rozpacz był odpowiedzią na moje rozporządzenie.

Abdahan effendi rzucił się tymczasem na czausza, rycząc, jak dzikie zwierzę: „Ty łotrze, to taka twoja noga! Giń psie!”

Żołnierze z trudnością oderwali go od związanego.

— Sidi, czy jesteś wszystkowiedzącym? — rzekł oficer perski.

— To jeszcze nie wszystko, — odrzekłem.

— Nie wszystko! — krzyknął Abdahan, — rzucając się ku mnie. — Ja ci dam nie wszystko!

Zatrzymał się jednak na widok rewolweru, którego lufę wycelowałem prosto w jego głowę.

— Związać ich! Związać wszystkich pięciu!— zakomenderowali oficerowie i żołnierze z widoczną przyjemnością spełnili ten rozkaz.

Tymczasem wysłani powrócili, przynosząc z sobą znalezione papiery i oznajmiając, że w piwnicach znaleźli niezliczoną ilość towarów przemycanych, przeważnie najkosztowniejszych, od których wysokie cło należeć się powinno.

— Ale ja jestem niewinny!— ryczał Abdahan effendi.— Na mnie nic nie ciąży! Nie macie dowodów, abym ja do nich należał! Nie macie!

Bez słowa odpowiedzi wziętem do ręki miotłę, odmiotłem z ogniska popiół i podniosłem żelazną płytę, zasłaniającą otwór.

Głuchy jęk wydobył się z piersi Abdahana, który padł na sofę bezsilny. Zdawało nam się, że jego krwisty organizm nie wytrzyma tych wrażeń, ale nie, gwałtowne drżenie przebiegało całą jego istotą, otworzył oczy i poruszył ustami.

— Pod... podnieście mnie...— bełkotał, — postawcie... mnie... podtrzymajcie...— Czterech żołnierzy poskoczyło ku niemu i z wysiłkiem postawiło na nogi.

W tej chwili wyostałem z otworu ową komodę i postawiłem ją przed nim.

— Widzisz, Abdahanie, — rzekłem, — że dotrzymałem słowa... Dotrzymaj i ty. Za parę minut wybije północ i nic cię już zbawić nie zdoła.

Wtedy on otworzył usta i cicho, lecz wyraźnie począł mówić:

„...I nie wódz nas na pokuszenie... i uwolnij nas od Abdahana effendi i jego przyjaciół!“

W tej chwili Ben Adel i jego żona i obaj starcy podnieśli ręce do góry i rzekli wzruszeni:

— „I miej panie, miłosierdzie nad nim, boś Ty jest najlepszym i najmiłosierniejszym Ojcem wszej ziemi. Amen!“

— Amen! — powtórzyły zbieleiałe nagle wargi Abdahana i martwe jego ciało runęło na ziemię.

I Bóg, w którego wszechmoc uwierzył, okazał mu miłosierdzie swoje, zabierając go od cierpień, które tutaj na niego czekały.

— Zwyciężyłeś nas, sidi, — rzekł pers. — Ale dziękuję ci za to!

— I ja ci dziękuję, — dodał turek wyciągając rękę.

— Nie podziękowań od was pragnę, lecz sprawiedliwości, — odrzekłem poważnie. — Pozwólcie mi przedewszystkiem uwolnić tych, którzy za cudze winy tak długo cierpieli.

— Słusznie! — rzekli obaj oficerowie i własnoręcznie zdjęli kajdany obu starcom.

Następnego dnia puściliśmy się z Omarem w dalszą drogę, obsypani błogosławieństwami uszczęśliwionej rodziny, odprowadzeni do końca

doliny przez obu oficerów, którzy w raportach do swoich władz przedstawili mnie do nagrody.

Rzeczywiście, w jakiś czas potem otrzymałem dwa ordery: perski i turecki, które chowam do obecnej chwili, jako jedną z najmilszych pamiątek.

CICHA OFIARA.

Pod koniec panowania tureckiego Ruszczuk, dzięki kolei żelaznej, która stanowiła najbliższą komunikację pomiędzy Europą środkową, a wschodem, zaczął coraz bardziej stawać się podobnym do miast europejskich, a będąc jednocześnie rezydencją baszy, wielkorządcy wilajetu, przybierał pozór stolicy.

W mieście tu i owdzie stanęły budowle, mogące się słusznie nazywać kamienicami, zjawily się hotele i magazyny, wypierając coraz z głównej ulicy lepianki tureckie. Jako ostatni wyraz postępu uważano w Ruszczuku otworenie czytelni.

Utrzymywana przez zamożniejszą część mieszkańców, znajdowała się w stanie kwitnącym i posiadała nietylko przeglądy i gazety, ale i biblioteczkę i wypożyczalnię książek. Znajdowała się ona pod urzędowym nadzorem czorbadziego gminy bułgarskiej, odpowiedzialnego przed baszą za ro-

dzaj pokarmu duchowego, jaki stąd gmina czerpała. Wobec tego w czytelni nie było nic, coby równowagę bułgarskiego ducha naruszyć mogło, coby jakąś myśl śmielszą, lub nie godzącą się z istniejącym porządkiem państwowym obudzić w nim mogło. Ze wszystkich przeto druków, jakie się tam gromadziły, wydzielano się dobre myślenie, mające na celu dobro, przedewszystkiem sultana, następnie baszów, dalej urzędników wszelkiego kalibru, dalej muzułmanów, wreszcie wszystkich innych, a zatem i Bułgarów.

W czytelni schodziła się cała inteligencja miejscowa, nastrojona na ton spokojny, której za punkt wyjścia służyła reguła:

— Byle nie było gorzej, to może będzie lepiej.—

Jednym z najczęstszych bywalców w czytelni, był Stojan, syn mehandźiego (karczmarza) z Kriweny. Przychodził on nie tyle może dla książek, ile dla ludzi, siadał z boku i przysłuchiwał się rozprawom, jakie się w czytelni toczyły we względzie spraw publicznych, które Bułgarów żywo obchodziły; przysłuchiwało się tym rozprawom wielu młodych ludzi, a między innymi chłopak lat około dwudziestu, przychodzący zazwyczaj w sobotę wieczorem i spędzający w czytelni niedzielę całą. Chłopak ten uwagę Stojana zwrócił pilnością, z jaką się przysłuchiwał rozprawom i większą jeszcze, z jaką czytał. Odziany był ubogo, dziwacznie trochę z tego względu, że miał na sobie odzież

zbieraną, w części francuską, w części bułgarską. Widocznie dostawała mu się ona drogą datków; na nogach nosił chodaki.

— Co to za jeden? — zapytał raz Stojan zarządcy.

— Nie wiem,—była odpowiedź,—Na imię mu Nikola. Przychodzi w sobotę wieczorem, odchodzi w poniedziałek rano. Wprosił się...—

— Więc dwie noce w czytelni nocuje?

— Nocuje i za to zobowiązał się myć podłogę. Przynosi ze sobą świece i, jak się zdaje, na czytaniu i pisaniu noce spędza.—

— Ciekawy człowiek.—

Nikola zaciekawiał Stojana, który zapragnął poznać go bliżej. W tym celu pewnej niedzieli przyszedł do czytelni późno. Przez szczeliny, okiennicę świeciło się. Wszedł. Nie było nikogo prócz Nikoły, który, przy stoliku siedząc, pisał.

— Dobry wieczór,—pозdrowił go Stojan.

— Dobry wieczór,—odpowiedział.

— Cóż to... nocami pisujesz? —

Chłopak głowę odwrócił i odrzekł spokojnie:

— We dnie czasu nie mam.

Stojan podszedł ku niemu i przez ramię piszącego robocie jego przyglądać się począł.

— Co to? słownik przepisujesz? — zawołał zdumiony.

— A słownik.—

— I na cóż to?—

— Kupić nie mam za co, a nauczyć się chcę.—

Na granicy tureckiej.

Słownik był francusko-serbski, wydany w Belgradzie w 1846 roku. Nikoła przerabiał go na bułgarsko francuski, nie przepisując jednak wyrazów wszystkich. Stojan przypatrzył się uważniej i dostrzegł pewną systematyczność w doborze wyrazów. Wszystkie one tyczyły się życia praktycznego, codziennych spraw i potrzeb ludzkich.

Uczysz się więc języka francuskiego,—rzekł po chwili.

Uczę się,— odpowiedział Nikoła.

— Wyrazów?—

— Jak będę umiał wyrazić, to dosyć.—

— O nie, trzeba je jeszcze umieć wymawiać i łączyć.—

— Co to znaczy?—zapytał chłopak.

— Przeczytaj mi to,—odrzekł zamiast odpowiedzi Stojan.

Stojan trafił na wyraz „pain“ (chleb) i Nikoła przeczytał tak, jak się pisze.

— Widzisz, tak się pisze, a czyta się „pę“. Nauczyłbyś się przeto zupełnie błędnie.—

— O Boże! — westchnął chłopiec. — Takbym się chciał nauczyć czytać i mówić.

— Trzeba, żeby cię kto nauczył wymawiać i zapoznał z gramatyką.—

— Cóż to gramatyka?

— Nauka o mówieniu i pisaniu.—

— Ach! jakżebym chciał się z nią zapoznać.—

— Skądże się w tobie ta ochota wzięła?—

— Skąd?... nie wiem, — odparł.

— Czemże się trudnisz?—

— Pracuję u abadžija.—

— A skądżeś rodem?—

— Z Kotła...—

— Krawcowałeś w Kotle zapewne?—

— O nie, nie krawcowałem nigdzie przedtem.

Stałem do roboty u abadžija po przyjściu do Ruszczuku.—

— Czemżeś się trudnił przedtem?

— Pasałem owce. Czytać i pisać nauczyłem się jeszcze w dzieciństwie i potem miałem książki... czytałem za owcami chodząc.—

— Cóż to były za książki?—

— Nikoła wymienił: „Mitarstwata na Błażenia Teodora“, „Rewizjata na św. Bohorodica“. Pierwsza z tych książek jest opowiadaniem o tem, jak grzesznica nawróciła się zapomocą modlitwy do św. Bazylego i pokuty; druga o tem, jakie Matka Boska męki w piekle widziała; trzecia wymiana 99 cudów Najświętszej Panny. Z dzieł tego rodzaju składała się początkowo literatura bułgarska. Krążyły one szczególniej pomiędzy ludem, a Nikoła do niego należał.

— Czytałem, — powiadał, — książki i zdawało mi się, że na świecie niema innych... Czytałem je w polu dla siebie i po kolibach dla owczarzy... Ale raz zaszedłem do Warny z jagniętami na sprzedaż i tam, poniosłszy jagnię na sprzedaż konsulowi francuskiemu, zobaczyłem w domu jego książek mnóstwo. Od tego momentu spokoju nie mia-

łem... Owczarstwo rzuciłem... powróciłem do Warny i u konsula na służbę stanąć chciałem, ale się do niego dostać nie mogłem. Włóczyłem się po mieście dni kilka i dowiedziałem się, że książki są w Ruszczuku.—

— Być muszą i w Warnie, nietylko u konsula,—wtrącił Stojan.

— Może...—odparł chłopak,—ale ja w Warnie jeść już nie miał co... liczyłem na służbę u konsula, zawiodłem się, głód mi się czuć dawał.—

— Służby innej znaleźć nie mogłeś?—

— Trafiła mi się niejedna, ale... bez książek.—

— Tak ci o książki chodziło?—

— A tak, — odpowiedział. — We dnie mi w oczach stały, po nocach się śniły.. Wydawało mi się, że umrę, jeżeli do nich nie zajrzę...—

— Skądże ci się to wzięło?—

— Ludzie powiadają, że z książek dowiedzieć się można o wszystkim. Kiedym się więc dowiedział, że w Ruszczuku jest czytelnia, a w niej dużo książek, przyszedłem.—

— Jakto, piechotą?—

A no... Przy sobie nie miałem pariczki jednej ażeby żelaźnicę (kolej) opłacić... Szedłem dni cztery o chlebie proszonym... i zaszedłem... Pytałem o czytelnię, dopytałem się, i Bogu dzięki trafił się abadzij, co mnie na cziraka (terminatora) przyjął.. siedzę u niego i robię tydzień cały, a w sobotę idę do czytelnii i mam na czytanie cały dzień nie-

dzielny i dwie noce... Czytam, co jest bułgarskiego, a chciałbym jeszcze i to, co po francusku czytać...

— Chcesz się uczyć, momcze (chłopcze)?— zapytał Stojan.

— Pragnę,—odparł z zapalem.

— Jeżeli więc chcesz, będę ci pokazywał i książki dawał?—

Nikoła mu w oczy z wyrazem wdzięczności spojrział i odsunął się trochę celem zrobienia miejsca Stojanowi, który obok niego usiadł i wtajemniczać go zaczął w wymawianie francuskie. Lekcja trwała jakies pół godziny i zakończyła się rozmową:

— Czemuż to naukę od języka francuskiego zaczynasz?—zagadnął Stojan.

— Bom słyszał, że w języku francuskim jest książek najwięcej.—

— Chceszli się nauczyć czytania tylko dla przyjemności, jakie w nim znajdujesz?—

— A! nie... — odparł.

— Dlaczegoż przeto?—

— W książkach znajdzie się może sposób jaki... na to, żeby się z memlekietu (ojczyzny) naszego pozbyć Turczyzna.—

— Ty myślisz o tem?! — zawołał Stojan ze zdumieniem.

— Dlaczegożbym nie miał myśleć? Słyszałem, że są księgi takie, w których znajdują się

zakłącia na wszystko... W tych, które czytałem, zakłec nie znalazłem... A zatem... szukać chce.—

Stojan zamyślił się i odrzekł po chwili:

— Zakłącia znajdują się w naukach, dających człowiekowi sposoby... W języku każdym, a jest ich na świecie mnóstwo, nauki szukać trzeba.—

— Cóż to jest.. nauka?—

Stojan wymienił mu przedmiotów kilka i dał dla nich określenie ogólnikowe.

Nikoła w oczy mu patrzył uważnie.

— Ucz mnie, — odezwał się po chwili.

— Dobrze, — Stojan na to, -- Czy ci jednak czasu starczy?—

— Co sobota wieczorem pokaż mi tyle, ażebym miał do czynienia na tydzień cały. Będę siedział, szyl i myślał sobie, gdy zaś nie będę szyl, zajrzę do tego, co napiszę i znów będę miał myśleć o czem.—

— Dobrze, — powtórzył Stojan.

Od tej chwili Stojan znalazł zajęcie, które go interesowało żywo. Owczarek ów odsłonił przed nim świat, niesłychanie ciekawy, a znany mu jeno powierzchownie, chociaż w mechanicznej ojcowskiej z włóścianami miał styczność częstą i bezpośrednią. Nie wyobrażał sobie, aby uczucia takie kryć się mogły pod zgrzebną siermięgą i aby tak głęboko do duszy sięgały. Uczeń z Nikoły był bardzo pojętny; chwycił wszystko w lot, kombinował i zapamiętywał. Opowiedział mu naprzykład układ świata, pokazał mapę, a on to sobie przyswoił tak

dokładnie, że potem geografji sam się już uczył, rozpatrując się z ciekawością wielką w kierunkach rzek i gór, w zarysach lądów i mórz i w granicach państw. Tak samo poszło z arytmetyką. Zdawało się, jakby w głowie tego człowieka złożony był zapas wiadomości różnych, które tylko uporządkować należało. Po półrocznej pracy Stojan mógł z nim przystąpić do początków algebry i geometrii. Najbardziej jednak zajmowała go historia, którą wprost pożerał.

Pewnej soboty nauczyciel zastał ucznia rozpromienionego i uradowanego niezmiernie.

— Cóż ci się stało?—

— Porzuciłem mego abadžija i dostałem się do tego „talie“, co z Paryża przyjechał, szyl francuski wywiesił i po francusku gada. Po za tem nie będę u niego mieszkał, mam więc wieczory wolne. Z tego powodu mam do ciebie prośbę...—

— Żebym z tobą mieszkanie podzielił? I owszem, — podchwycił Stojan.

— Nie, abys mi u zarządzającego wyrobił pozwolenie nocowania tu w czytelnii. Marko powiada, że on nie ma prawa przyjąć mnie sam, a prosić za mną nie chce.—

Stojan, znając się ze wszystkimi, i, mając jako syn bogatego ojca pewien mir u ludzi, wyrobił mu to pozwolenie łatwo i Nikoła z podwójną energją zabrał się do nauki.

Rychło on w czytelnii za kulisy zajrzał. Na stole leżały dzienniki, w szafach spoczywały książ-

ki przez cenzurę turecką zatwierdzone, z po za nich atoli wysuwały się książki i dzienniki rosyjskie, serbskie i bułgarskie, te ostatnie w Bukareszcie lub Braile drukowane. Skąd one się brały? Wzdłuż Dunaju czuwały warty tureckie i nikogo bez pasportu i rewizji nie przepuszczały, a przecież dzienniki i książki napływały, napływały. Jak się do czytelnicy dostawały nie wiedział ani Stojan, ani Marko, który z tej racji wystawiał się na ostre ze strony zarządzającego wyrzuty.

— Skąd się to bierze? — mówił zarządzający, jeśli taki podejrzanym egzemplarz do rąk mu się dostawał.

— Albo ja wiem! — odpowiadał dozorca. — Każdy kawałek z poczty przeglądam pilnie i stemplom się przypatruję.—

-- I nic takiego poczta nie przynosi?—

— Nic.

— W takim razie ktoś podrzuca, — rzekł zarządzający. — Baczcie i złap... a ja się z nim rozprawię... Gdyby, broń Boże, basza się o czemś podobnym dowiedział, na nas wszystkich spadłaby bieda wielka, a najprzód czytelnicy by nam zamknięto.—

To ostatnie było dla Marka wielką do pilności w dozorowaniu podniętą. Ale nadaremnie czatował godzinami całymi, nikogo na gorącym uczynku nie pojmał, choć gazety zjawiały się stale i przez wszystkich z ciekawością czytane były.

Wreszcie zdecydował się wezwać do pomocy Nikołą.

— Nie wiesz, co się tu dzieje? — przemówił do niego pewnego wieczora.

— A co?—

— Grozi nam nieszczęście wielkie. Czytelnicy nam zamknąć mogą.—

— Co ty powiadasz? Jakim sposobem? — zapytał Nikoła.

— Widzisz!...—odrzekł na to Marko, pokazując mu gazetkę, którą umyślnie na pokazanie mu zachował.

Nikoła, przychodząc późno, nie spotykał się dotychczas z pismami tego rodzaju. Spotkanie się przeto wywarło na nim wrażenie silne.

Pochłonął gazetkę jednym tchem i... doznał olśnienia.

— Czytałeś to, Marku?—

— Ja... nie... Ja nie czytam. Moja rzecz—pilnować, owóż pilnuję i mimo to, wciskają się pisma, które w czytelnicy być nie powinny.—

— Na cóż czytelnicy?—

— Na pisma stemplowane, te zaś, — wskazał gazetkę, — ktoś cichaczem podrzuca... Chodzi o to, żeby winowajcę złapać... Ty mi musisz dopomóc.

— A cóż będzie z tym, co podrzuca?—

— Rozprawi się z nim zarządzający. Trzeba, żeby nam Turczyn czytelnicy nie zamknął, byłoby to bowiem nieszczęście.—

— Prawda, — odrzekł Nikola, — ale byłoby to nieszczęście, gdyby pism takich nie czytano... posłuchaj jeno...—

I odczytał ustęp z ogniem kreślony, w którym autor dowodził niesłuszności panowania tureckiego w Bułgarji.

— Rozumiesz?... Wiedziałeś o tem?...—

— Na Boga, nie wiedziałem.—

— Widzisz więc, że takie pisma są tutaj zupełnie na swoim miejscu.

— Tak... ale zarządzający...—

— Tu nie o niego, ale o baszę chodzi... Tak należy urządzić, żeby się basza o tem nie dowiedział przez czapkina jakiego, któryby mu o tem doniósł. Czy tu przychodzą tacy?—

— Przychodzą, — odparł Marko i wymienił nazwisk kilka.

— Widzisz, to może oni nawet podrzucają pisma, aby było za co zamknąć czytelnię.—

— Tak być w rzeczy samej może, — odrzekł nawpół przekonany dozorca i przy pierwszym spotkaniu z zarządzającym szepnął mu, że pisma podrzucone są przez zauszników baszy.—

— Niech znikają pocichu... bez hałasu... Jak się tylko jaka gazeta pokaże na stole, zabieraj ją i w ogień!—

Nikola czempredzej podzielił się wiadomością ze Stojanem.

— Zarządzający kazał je Markowi niszczyć,—

rzekł, — a jabym to w ramy oprawiał i tych, co podrzucają, złocił..

— Któż podrzuca?—

— Niewiadomo... Musi to być jakiś junak prawy...—

Stojana to uderzyło. Domyślił się, że się coś knuje i zdjęła go ochota wyśledzenia knowań nie przez ciekawość, ale dla wzięcia w nich udziału czynnego. Krew bułgarska zagrała w nim żywiej.

Taż sama ochota objawiła się i w Nikole. Nie myślał on jeszcze o wzięciu udziału, ale pragnął wyrazić cześć swoją i uwielbienie temu, który w wyobraźni jego przedstawiał się w postaci człowieka niepospolitego.

Z dwóch tedy powodów Stojan i Nikola tę sprawę śledzić poczęli. Śledzenie ciągnęło się niedługo. W kilka dni już go mieli i tak się zdarzyło, że odkrycie nastąpiło w jednej i tejże samej chwili. Ludzie się do czytelni schodzili, oni dwaj, jeden obok drugiego siedzieli i, oczy na każdego wchodzącego zwracając, dostrzegli, jak jeden z nich wszedł, z zanadru druk wyjął i pod leżące na stole gazety wsunął, następnie zwrócił się i jak najdalej od tego miejsca usiadł.

Nikola Stojana łokciem trącił i do ucha mu szepnął:

— Tegom się nie spodziewałem.—

Stojan ramionami ruszył.

Nikola nie spodziewał się, ażeby sprawcą był człek wcale niepokazny, na postaci swojej naj-

mniejszej oznaki bohaterstwa nie noszący, cichy, potulny i do tego kulawy, niejaki Stanko Radow, który przy szkole miejscowej pełnił obowiązki nauczyciela przy klasach niższych. On to dopuszczał się występku, który Nikołą zachwycał. Wyobraźnia jego poniosła szwanku trochę i do Stojana szepnął:

- Tegom się po Stanku nie spodziewałem.—
- Czemu? spytał Stojan.
- Człowiek taki marny...—
- W marnym ciele piękna dusza.—
- Uhm...—odrzekł. — To być może.

Wnet Stanko w oczach jego wypiękniał. Potulny nauczyciel zajaśniał blaskiem heroizmu. Stanko tymczasem, niczego się nie domyślając, czytał dzienniki, z podełba niekiedy po obecnych prowadził i po chwili wyszedł.

— Idźmy za nim...—szepnął Nikoła do Stojana.

Wstali i wyszli i wnet go na ulicy dopędzili, co im z tem większą łatwością przyszło, że nie spieszył się zgola.

Stojan go pozdrowił, Nikoła odrazu zaczął:

— Tyś wielki człowiek, Stanku...—

Ja?...—zapytał ten ostatni ze zdziwieniem.

— Tak... ty... Za Dunaj chodzisz...—

— Za Dunajem noga moja nigdy nie była.—

— Stamtąd pisma, co w czytelnicy podrzucasz, przynosisz...—

Słowa te zmieszały Stanka.

— Widziałeś?—

— Widzieliśmy obaj.—

— No... to więcej podrzucać nie będę.—

— Podpatrzyliśmy cię nie na to, ażebyś zaprzestał czynić, co czynisz, ale, żeby tobie pomagać, — rzekł Stojan. — Widzisz, zdradziłeś się, boś, sam...—

Będziemy cię osłaniać i w potrzebie pomagali tobie...—

— Będziemy tobie pomagali!—zawołał Nikoła w uniesieniu.

— Cicho... odezwał się Stanko. — Nie krzycz na ulicy...—

— Psss... — syknął Nikoła i głowę sobie dłonią zasłonił.

— Pójdźcie do mnie, mam izbę osobną, to pomówimy, — rzekł Stojan.

Stojan miał mieszkanie u jednego z najbogatszych, ale i najtchórzliwszych ojców miasta. To też, wszedłszy na podwórze, szepnął do siebie:

— Ściany mają uszy.—

I wprowadził ich nie do swego pokoju, lecz do altany w ogrodzie, gdzie miał pewność, że podsłuchiwanie nie będą.

— O! tu jesteśmy swobodni... Cóż, Stanku?—rzekł.

— A cóż... — odpowiedział zagadnięty, ramionami wzruszając.

— Będziesz miał w nas pomocników?—

Wolałbym, — odrzekł, — abyście wyręczyli cię moimi byli.—

— Jakże to?—

— A to tak; zabierajcie, noście, podrzucajcie, bylebym ja o niczem nie wiedział.—

— To dobrze, — Stojan na to.

— Kiedy dobrze, to i dosyć.—

— Wskażcie nam, gdzie zabierać potrzeba.—

— A... — odparł. — Co do tego, najprzód się dowiedzieć i zapytać muszę... Nie odemnie to zależy.

— Od kogóż? — —

— Tego mi właśnie powiedzieć niewolno.—

— E, cóż tam... — zaczął Stojan tonem perswazji.

— A nie... — przerwał Stanko, — ani wam, ani nikomu, ani po przyjaźni, ani chociażby mnie. Turcy na gorących węglach piekli... — Zobowiązałem się, a obowiązek, wiecie, święta rzecz.—

Mówił to z takim spokojem, jakby zgoła nie chodziło o pieczenie na węglach i tak naturalnie, jakby to pieczenie nie wiele różniło się od siedzenia w oplecionej bluszczem altanie.

— Zobowiązałem się, — powtórzył.

— Przysiagłeś? — zapytał Stojan.

— Nie... Zobowiązałem się i tyle... Pytano mnie: „Nie powiesz?“ — odpowiedziałem: „Nie powiem“... i już. Teraz powiem, że wy wszystko na siebie bierzecie. Jam się tam w to wtrącać nie chciał, ale nie było pod ręką nikogo. Dla memleketu mego gotów jestem zrobić wszystko, muszę jednak oszczędzać trochę głowy, bo dzieci drobne

mam. Więc, — zapytał, — wyście gotowi głowy nadstawiać?

— A no, — rzekł Stojan. — Ja moją nadstawie gotów.

— I ja moją, — dodał Nikoła.

— Więc ja o was powiem i dam wam znać, a tymczasem będę któremu z was dawał te pisma, co do czytelnicy przeznaczone.—

— Dawaj mnie, — rzekł Nikoła.

— Dobrze, mogę tobie.—

— Będę do ciebie wieczorem zachodził.—

— Dwa razy na tydzień: we środę i w sobotę. Rozumiesz?—

— Czemubym nie miał rozumieć? Trzeba jedno zapamiętać sobie: środa i sobota, — powtórzył.

Następnej niedzieli do czytelnicy przyszedł Stojan i, przysunawszy się do niego zapytał cicho:

— Byłeś u Stanka?—

— Ach! — odrzekł, — zapomniałem.—

— No widzisz.—

— W środę byłem, ale nadaremnie, a wczoraj w książkę się wgrzyłem i zapomniałem... Pójdę dziś wieczorem.—

— Czy go zastaniesz?—

Moja wina... Nie rozumiem, jakem mógł zapomnieć. Et, pójdę zaraz.—

Nikoła porwał czapkę, wyszedł z czytelnicy i prosto do Stanka po pisma się udał.

Stanko zajmował mieszkanie w szkole, a raczej szkoła zajmowała jego mieszkanie. Składało

się ono z dwóch izb, z których jedna była klasą, druga — kuchnią. Klasa nie posiadała ławek, ani stołów, świadczyły o niej książki na półce, tablica i zawieszona na ścianie jakaś odwieczna mapa Europy. Dzieci do nauki zasiadały na podłodze. Z powodu niedzieli izbę zajmowała rodzina Stanka: żona jego i pięcioro drobiazgu, wśród którego najstarsza dziewczynka dochodziła lat ośmiu.

— Dobry wieczór,—odezwał się Nikola z proga.

Stanko na pozdrowienie odpowiedział, ale z siedzenia nie wstał, dziecko bowiem jedno na rękach trzymał, drugie mu na kolanach siedziało, trzecie się do niego przytulało. Odpowiedział więc tylko na pozdrowienie i dodał:

— Wczoraj na ciebie czekałem.—

— Moja wina, — odparł Nikola, siadając.

Usiadłszy pięścią się w czoło uderzył i dodał.

— To ta głowa wszystkiemu winna... zapomniałem.—

— Nie gniewaj się na siebie... To rzecz ludzka... Pamięć? hm... pamięć czepia się głowy za razem dopiero siódmym... Tyś dopiero zapomniał raz... i mnie to nie zdziwiło... zdawało mi się, żeś się rozmyślił.—

— Ale!... — zaprotestował Nikola.

— O głowę chodzi, nie każdy gotów głową własną igrać.—

Jeżeli igrał ty, co dzieci masz...—

— Ja to co innego, to mój esnaf... zaczyna się on od abecadła i idzie, idzie precz do wszystkiego

co do czytania należy... Dzieci ucze a, b, c; starym mówię: czytajcie! i tak to poszło, aż doszło do tego, że podrzucał pisma, których ludzie dotknąć się boją... Ale jabym głowy stracić nie chciał... Zdawało mi się, że i tybyś nie chciał także.—

— Pewnie nie chciałbym.

— Namyślże się... może się rozmyślisz.

— Gdybym się rozmyślił, toby znów spadło na ciebie?—

— Na mnie... nie, bom się już zdradził.—

— Więc trzeba kogoś?—

— Trzeba, ale takiego, co jakem wam mówił, dałby się na węglach gorących upiec i ani pisnął.—

— Jażem na to już odpowiedział.—

— Prawda, ale czyś nad tem myślał?—

Juści... myślałem.—

— To dobrze... Ponieważes postanowił, trzeba jeno poczekać trochę na pozwolenie.—

Stanko powiedzieć coś jeszcze chciał, lecz głową jeno pokiwał i na żonę, która w izbie sąsiedniej koło wieczerzy się krzątała, zawołał.

— Weźno dziecko, — rzekł do niej, podając jej niemowlę, co mu na rękach spało. — Mam się z człowiekiem wedle książek rozprawić.—

Żona dziecko zabrała, on zaś wstał i po chwili wrócił. Powracał, zdawało się, z niczem, usiadłszy jednak obok Nikoły, z rękawa wysunął i przy nim położył druki, składające się ze złożonego w kil-

koro arkusika dziennikarskiego i z cieniuchnej w czerwonej okładce broszury. Położył to i rzekł:

— Oto masz... w rękaw sobie wsuń...

Nikoła uczynił, jak mu powiedziano było.

— A idąc ulicą bacz, aby zaptije (żandarmi) do apsu (więzienia) cię nie wzięli.

— Dlaczegożby mnie zabrać mieli?

— Dla niczego. Czyż oni dla czegoś do apsu zabierają? Opatrzą ci kieszenie i jeżeli pisma znajdą, będą cię z konaku do apsu i z apsu do konaku wodzili, będą cię rozpytywali, szturchali, w pięty bili, głodzili, męczyli, ażeby w końcu albo powiesić albo do Akry na gnicie zesłać... Rozumiesz? — Wiesz już, co cię czeka?

— Nie bał się ty, i ja się nie lękam.

— Na baczności się miej i niech cię Pan Bóg strzeże... Zajdź do mnie we środę, a teraz do domu wracaj... Czy słyszysz śpiew muezzyna? Za pół godziny po ulicach niewolno już będzie chodzić, chyba tylko kotom, psom i zaptijom... śpiesz się.

Nikoła zerwał się i ruszył. Na ulicach panował ruch żywszy, aniżeli w ciągu dnia i patrole gęste krążyły. Nikoła podejrzanym się czuł, więc miną nadrabiał, coby mu na złe wyjść mogło, gdyby zaptije przyglądać mu się pilnie zechcieli. Szczęście mu jednak sprzyjało. Przemknął się, do czytelnika dostał i z nowego swego zadania pomyślnie się wywiązał. Od tego czasu Nikoła i Stojan dwa razy na tydzień do Stanka zachodzili, pisma od

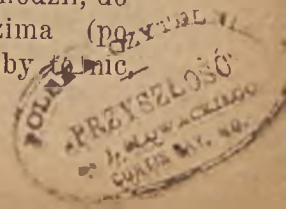
nego brali i we trzech nieraz o doli ukochanego memlekietu radzili i pisma już odbierali wprost nie przez Stanka, aby biedaka oszczędzić, temwięcej, że on jeden tylko mógł i umiał zasiewać w sercach dziecięcych miłość tej ukochanej, a tak bardzo nieszczęśliwej ojczyzny. Tymczasem i bez niego pisma zabronione zjawiały się w ilości takiej, jak nigdy. Basza wiedział o nich, napróżno jednak starał się o wyśledzenie, jaką drogą przychodziły, i zły nakazywał aresztowania. Aresztowania te jednak do żadnego rezultatu nie doprowadziły, gdyż aresztowani również byli winni, jak sam basza. On również pisma dostawał.

Zaniepokoiło to władze, zaniepokoiło mieszkańców w Ruszczuku konsulów państw obcych, którzy na baszę nacisk wywierać zaczęli, aby porządek zaprowadzić kazal.

— Dobrze, — rzekł wreszcie turecki dostojnik. — Śmiałość ich i mnie z niecierpliwości wyprowadziła. Chcą wywołać niepożądane rezultaty swych knowań, będą je mieli takie, jakich się nie spodziewają.

Pomiędzy wysłanymi byli Stojan i Nikita. Stanko nie nadawał się do tego rodzaju pracy, został więc w miejscu, ucząc małych i starych tego, co sam czuł i umiał.

Stojan tymczasem od wsi do wsi chodził, dopóki w jednej nie natknął się na milazima (podoficera) z askierami (żołnierzami). Byłoby to nie



gdyby w jednej z chałup nie spotkał się oko w oko z milazimem i to w chwili, kiedy ten ostatni chciał przerażonego chłopca za jakiś drobiazg na ofiarę swawoli swoich żołnierzy oddać. Stojan wiedział, jakie męczarnie czekać mogą nieszczęśliwego i stanął w jego obronie. Milazim chciał zawołać na żołnierzy, ale Stojan rzucił się na niego, i schwywszy za gardło, udusił.

Od tej chwili rola jego na polu apostołowania była skończona. Teraz musiał się kryć nie tylko przed Turkami, ale i przed swoimi, gdyż przerażone chłopstwo głośno go o zabicie wroga pomaślało i byłoby go wydało zaptijom bez najmniejszego wyrzutu sumienia. Wobec tego nie pozostawało mu nic innego, jak do Ruszczuku wrócić, gdzie ukrywanie się było i łatwiejszym i bezpieczniejszym i skąd jedynie mógł się przedostać za Dunaj. Przemykając się nocami po najmniej uczęszczanych drogach dostał się wreszcie do wałów fortecznych. Było jeszcze ciemno. Na wschodzie widnokrag dopiero rumienić się poczynał. Stojan, wałom się przypatrując, dojrzał budkę szyldwacha; podszedł bliżej, wzrok wyteżył i ujrzał żołnierza, który w budce siedział, powinien był po wale chodzić, siedział jednak.

— Śpi może, — rzekł Stojan do siebie.

Podszedł jeszcze bliżej i po rozszerzającej się jutrzence dopatrzył budek na prawo i lewo, ale na wale żołnierzy nie dopatrzył.

— A no, — strzeliła mu do głowy myśl, — spróbuję.

Do rowu się spuścił i jął szukać sposobu wdrapania się na wał.

Turków odznacza niedbalstwo w utrzymywaniu fortów w czasie pokoju, dlatego też z łatwością spuścił się Stojan do rowu i bez trudności wynalazł mur opadły, po którym, jak po stole na wał się wydostał, tuż pod samą prawie budką. Wychylił się ostrożnie i do wnętrza jej zajrzał. Żołnierz spał rzeczywiście. Stojan obszedł budkę dokoła i po stoku wewnętrznym spuszczać się zaczął ku miastu. Nagle o uszy jego obił się okrzyk:

— Dur (stój)!

Był to obchodzący podwale patrol. Na ten okrzyk Stojan puścił się pędem przez wygon ku budowli, która maskowała sobą ulicę, prowadzącą do środka miasta. Liczył na to, że się budowlą zasłoni, usłyszał jednak za sobą pogoń, która za chwilę dopędzić go miała. Instynktownie obejrzał się wkoło i ujrzał z jednej strony stojącą beczkę, z drugiej namiot cygański, z pod którego widać było gołe nogi śpiących. Nie namyślając się długo do beczki wskoczył i przykucnął. W tej chwili żołnierze nadbiegli i, nie widząc nikogo w ulicy, wymyślać poczęli!...

— Pezewenk!... Czapkin!... uciek!... Dostanie się on kiedyś w ręce nasze!...

Cyganie się pobudzili i z namiotu powyłazili. Żołnierze klęli i soplwali, zawrócili wreszcie i ku wałom pociągnęli.

W chwilę później Stojan z beczki wylazł i przeszedł mimo cyganów, którzy na niego ze zdziwieniem patrzyli. Nie oddalił się jednak i pięćdziesięciu kroków gdy stara cyganka, mrugnawszy na towarzyszków, śladem się za nim udała, Stojan minął ulic kilka, wszedł na mahałę bułgarską i zatrzymał się przed drzwiami swego dawnego mieszkania. Na co liczył, nie wiedział sam, pragnął tylko choćby krótkiego spoczynku, aby wzmocnić osłabione siły. Niestety w musafirlyku spotkał gospodarza, który na jego widok plasnął ze zgrozą w ręce i po zaptijów chciał posyłać.

— Nieszczęsny!—zawołał,—po co ty tu?... Tyś jedno turczę zabił i do mnie przychodzisz?... Ja nie mam krwi mojej do wylania... Nie... Ja... ja...—belkotał, — ja ciebie zaptijom oddam!

— Nie oddasz, ojeze! Nie popełnisz podłości takiej! — zawołała córka gospodarza, która na ostatnie jego słowa do izby weszła.

— Ależ on mnie gubi!... odparł hadzi. — Zamiast niego ja na szubienicę pójdę, jeżeli wiadomem będzie, że mu przytułek dał! Zresztą, niech on wychodzi natychmiast!... Wychodź!... Uciekaj!... zapomnij, żeś próg mój kiedykolwiek przestępował!... Wychodź!...

Stojan poznał, że mu nic innego nie pozostaje, tylko opuścić schronienie, które mu się tak bez-

piecznym wydawało. Teraz powinien je opuścić jaknajprędzej, ażeby uprzedzić ruch na ulicach. Nic więc nie mówiąc, wyszedł, na ulicy w lewo się zwrócił i ruszył, nie oglądając, po za siebie, a za nim, jak cień wierny pociągnęła stara cyganka.

Stojan miał do wyboru dwa schronienia: jedno u przyjaciela, drugie u Stanka. Byłby wybrał to pierwsze, ale do przyjaciela było daleko, a ruch na ulicach mógł się zacząć lada chwila. Dlatego to na lewo się udał i szkoły dopadł. Na szczęście drzwi znalazł otwarte, wszedł i ze Stankiem się w pierwszej izbie spotkał.

— Prawiem się spodziewałem ciebie, — rzekł ten ostatni po pierwszych wyrazach powitania.

— Ukryć się potrzebuje.

— No, wiem... przetrzasają tu za tobą Turcy miasto całe; robili wczoraj rewizję u zarządzającego, gdzieś mieszkał. Dragan wyjechał i nie może cię natychmiast wyprawić do Rumunji... Zostaniesz u mnie do wieczora, wieczorem zaś coś dla ciebie obmyślimy. Tymczasem zaś... chodź...

Zaprowadził go do komórki i pokazał mu na wypadek wszelki wyjście tylne, otwierające się na przesmyk pomiędzy domami.

-- O przesmyku tym Turcy nie wiedzą... Wyprowadza on... wiesz... po za ogrodem Dragana na sam brzeg Dunaju. Gdybyś potrzebował uciekać, nie biegnij do brzegu, ale przez mur skacz do ogrodu. Ja uprzedzę matkę Dragana... to prawa bułgarka... ona ciebie uchronić potrafi.

Zamienił Stanko ze Stojanem jeszcze frazesów kilka i odszedł, Stojan na spoczynek się ułożył.

Przed domem cyganka stara czekała długo, bardzo długo, aż wreszcie stanowisko swoje opuściła i udała się wprost do konaku.

— Ja do samego baszy, — rzekła urzędnikowi, który na nią pytająco spojrział.

— Cóż ty do paszy masz?

— Mam ja mu powiedzieć takie słowo, za które mnie pariczkami (pieniężkami) obsypie.

— Da ci ghurusz jeden.

— Nie... tysiąc.

— Eh?... — odezwał się urzędnik. -- Toś ty może Stojana Kriwenowa wytropiła? Z tem nie potrzeba ci do paszy iść... prowadź... gdzie on?...

— A moich tysiąc ghurusz!... zawołała cyganka płacząc.

— Najprzód zaprowadź i pokaż, a potem pogadamy.

Cyganka zakaszlała się, pochyliła, płachtę na głowę naciągnęła i przodem podreptała, a za nią sunął aga z oddziałem zaptich.

Cyganka z początku nie spieszyła się, potem jednak żwawiej, ulic kilka minęła i stanęła.

— Oto tu... — rzekła, oczami pokazując.

— Tu... hm? — odrzekł aga. — To szkoła.

Zwrócił się do zaptich, a oczy jego wyrażały zapytanie.

— Na Stanku niema podejrzenia?...

— Dotychczas nie było...—odpowiedział z zaptich jeden.

— Eh?... więc jakże?...—odezwał się naczelnik.

— Zawszeć on raja.

— Taki cichy i pokorny.

— Pokorni oni są wszyscy.

— Czyś ty pewna, że on tu?... — zwrócił się do cyganki z zapytaniem.

— Widziałam, dżanem, jak tu wszedł i już stąd nie wyszedł, jak od hadzi Dymitra.

— Był więc u hadzi Dymitra? I od niego wprost przyszedł tutaj?... A no...—odezwał się aga i drzwi do szkoły otworzył.

Ukazanie się agi z zaptijami sprawiło przerwanie lekcji, która się właściwie odbywała. Dzieci szeregami na ziemi z tabliczkami w rękach siedziały, a Stanko na tablicy kredą wyrazy pisał i głośno je sylabizował. Uczniowie za nim każdą literę powtarzali. Powstawała stąd wrzawa na tempa. Nagle nastąpiła cisza. Kilkadziesiąt par oczu zwróciło się na agę, który, próg przestąpiwszy, stanął, okiem po dzieciach powiódł i do stojącego obok tablicy Stanka odezwał się głosem rozkazującym:

— Wydadź mi komitadziego Stojana Kriwenowa!

Stanka rozkaz ten ani trochę nie zmieszał. Kroków kilka ku drzwiom, do izby przyległej prowadzącym, postąpił, drzwi te otworzył i przez nie głośno rzucił:

— Stojanie uciekaj!...

Poczem drzwi zamknął i przed nimi stanął.

— Otwórz te drzwi! — odezwał się aga, posuwając się naprzód.

— Poczekaj, dżanem... — odrzekł Stanko rękę wyciągając. — Poczekaj trochę...

Aga zatrzymał się mimowoli, powściągnięty spokojem, z jakim Stanko do niego przemawiał. Opamiętał się jednak i znowu krok naprzód postąpił.

— Poczekaj... — odezwał się Stanko.

— Na co?... — zapytał aga.

— Poczekaj... — powtórzył.

— Eh!... — odrzekł aga z akcentem niecierpliwości.

— Poczekaj... ja ci drzwi otworzę sam... — rzekł Stanko.

Aga znów się zatrzymał, na to atoli, ażeby się do zaptich zwrócić i dać im giestem odpowiedniem poparty rozkaz otworzenia drzwi.

— Poczekajże małko... — przemówił Stanko tonem perswazji. — Poczekajcie dla własnego waszego dobra, — ciągnął dalej, chcąc widocznie zaptich zabawić dlatego, aby Stojan na czasie zyskał.

— Jakiego dobra?... — zapytał aga.

— Poginiecie marnie... Komitadzi ten ma rewolwerów, zdaje się, siedem czy osiem.

Na te słowa zaptije stanęli jak wryci.

— Nie liczyłem, — ciągnął Stanko, — ale widziałem... tu jeden, tu drugi, tu trzeci..

Mówiąc to, palcem na swoim pasie pokazywał miejsca, w których Stojan jakoby rewolwery miał. Turcy słuchali, a on wymawiał powoli.

— Tu czwarty, tu piąty, tu szósty, tu siódmy, tu ósmy, tu dziewiąty, tu dziesiąty, tu...

— Psss dur!... krzyknął aga.

— Poczekajże małko maleno, ago effendim, niech doliczę... Tu jeden... tu drugi... tu trzeci...

— Ih! naprzód!... — skinął aga na zaptich.

Zaptije jednak nie spieszyli. Każdy z nich z zapasa rewolwer wyjął i jął go opatrywać. Rewolwery opatrzyli i tasaki z pochw powyjmowali. Ten, co się na przodzie znajdował, wziął rewolwer w rękę prawą, tasak w lewą; po chwili jednak przełożył rewolwer do ręki lewej, tasak do prawej i dopiero ruszył. Gdy ruszył Stanko jeszcze wynalazł sposób powstrzymania go na chwilę zapytaniem następującym:

— A czemuże ty komitadziego ułapiesz?

Zapti się zastanowił, lecz na krótko. Naprzód rezolutnie ruszył, Stanka od drzwi odepchnął, drzwi otworzył i wszedł do izby przyległej, w której przy ognisku siedziała plecami do wchodzących obrócona niewiasta. Do niej, niby kurczęta do kokoszy, tuliło się dzieci pięcioro. Rozumie się okrom kobiety z dziećmi nie było nikogo więcej. Stróże bezpieczeństwa publicznego oglądali się;

jeden z nich spostrzegł drzwi do komórki, pchnął je i próg przekroczył. Za nim poszli inni. Drzwi od komórki otwarte były, poszli więc dalej, oglądając się ostrożnie i sciskając rewolwery i tasaki w dłoniach. Na podwórku znaleźli dnem do góry wywrócony cebrzyk, garnków parę natłuczonych, miotłę i śmiecia kupę. Jeden z zaptich cebrzyk nogą dnem na dół przewrócił — pod nim Stojana nie było. Oglądali się, podwórko otoczone było murem, miejscami rozwalonym, za którym ciągnęły się ogrody, place, przesmyki. Zaptije spoglądali, zaglądali, oglądali, wreszcie jeden z nich do agi z raportem się udał.

Aga, który zatrzymał przy sobie zaptich kilku, gdy raportu wysłuchał, kazał Stanka pod wartę wziąć, sam zaś na podwórko wyszedł, rozglądając się, ręką machnął i do powrotu rozkaz dał.

— A tego pezewenka, — rzekł, przez klasę przechodząc i na Stanka palcem wskazując, — wziąć, związać i do apsu wsadzić.

Jak rozkazał, tak się stało.

Aresztowanie Stanka na ludności ruszczuckiej wywarło wrażenie przygnębiające. Cichy ten, popularny człowiek nikomu jeszcze nie zaszkodził, a każdemu, czem mógł dopomógł.

Nie przedsiębrano jednak nic, czekano sprawy. Niestety ta pogorszyła jeszcze położenie Stanka.

— Może Bóg da, że obroną wyjdzie ręką mówili jedni.

— Trudno — odpowiadali ci, co do konaku wstęp mieli.

— Czemu?

— Gada.

— Jakto... gada?

— Prawi Turkom prawdę w oczy.

— Onże był zawsze taki milczący!

— Milczał, póki gadać nie trzeba było, ale teraz gada, a tak spokojnie, jakby w kawenie rozmawiał.

— Skądże wiecie o tem?

— Słyszeliśmy od zaptich, którzy do naszej dugiany (sklepu) przychodzą i mastykę (wódkę) piją.

Stojan na te wiadomości westchnął i w duszy poprzysiągł pomścić na wrogu każdą krzywdę przyjaciela.

Tymczasem, kiedy ogólnie wiadomym się stało, że sprawa Stanka uważaną jest w konaku za przepadłą, matka Dymitra udała się do sędziego i obiecała mu pięćset medźidzi za uwolnienie nauczyciela.

Konferencje o tem trwały czas jakiś, wreszcie aga zjawił się u Dymitra i rzekł:

— Ten wasz Stanko głupszy aniżeli sobie wyobrazić można.

— Dlaczego?

— Więzienie miał otwarte, wyjść mógł i... nie wyszedł.

— Czemu?

— A cóż!... Boi się i ze strachu zostanie powieszony.

— Hm... chciałabym się z nim widzieć, — rzekła matka Dymitra.

— Czemu nie!... i owszem, — odrzekł bej. — Śledztwo już skończone.

W dwa dni potem bej wprowadził kobietę do więzienia.

— Dobrze, żeś przyszła, — rzekł. — Napastują mnie tutaj uwolnieniem. Dawniej napastowano mnie badaniem, teraz uwolnieniem i do domu mnie wypychają twójego.

— Czemu nie idziesz?

— Bo za mną pójdą zaptije i sprowadzą zpowrotem, ale nie samego, lecz w towarzystwie synów twoich i innych młodzieńców.

— Domyślasz się tego?

— Trzebaby chyba Turków nie znać, żeby, myśleć inaczej.

— I ja to wiem, ale mówię ci przyjdź. Schowanie mam dla ciebie takie, że cię nie znajdą i Dymitr cię na drugą stronę wyprawi.

— A cóż ja tam będę robił?

— To, co inni.

— Nie babo, — odrzekł spokojnie. — Tam jedni idą w apostoły, drudzy zostają wojnikami, trzeci piszą i drukują. Ze mnie nie może być ani apostoł, ani wojnik, ani pisarz; dzieci w Rumunji dla mnie do uczenia niema, będę więc odjadał chleb tym, co go sami zawiele nie mają.

— Nie będziesz chleba odjadał nikomu, — rzekła kobieta wzruszona.

— Zatrzymaj, babo, pariczki swoje, przydadzą się na co innego, bo ja tak, czy owak jestem człowiek przepadły. Życie moje nic już nie warto...

— Dla dzieci twoich...

— Ani dla dzieci moich, ani dla nikogo, babo... — odparł z westchnieniem. Zostawcież mnie i pozwólcie, ażebym narodowi memu usługę ostatnią oddał tem, czem jeszcze mogę.

— Czemu? — zapytała.

— A no śmiercią. Gdybym uciekł wstydy mi było wszystkich.

— Czy nie żal ci żony i dzieci, Stanku?

— Cóż ja im pomogę? Życiem nie, śmiercią zaś.

— Mniej jeszcze... podchwyciła.

— O, nie, babo... odrzekł spokojnie. — Gdy mnie Turcy za pieniądze wypuszczą, dzieci moje powiedzą: „Miałyśmy ojca żebraka.“ O ja obmyśliłem wszystko i wiem, bo po mojemu lepiej będzie. Ty mnie rozumiesz.

— O!... — odrzekła.

— Niech się dzieje wola Boża.

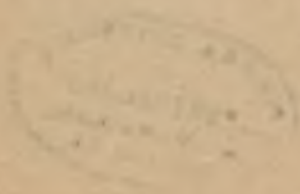
— Niech się dzieje... — powtórzyła.



SPIS RZECZY.

Na granicy tureckiej str. 3

Cicha ofiara „ 69



+ afo
Fsp.



